Nr. 9. Lwów, dnia 1. Września 1884. Rok VII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie

ZWIERZĘTA ŁOWNE.

KOZICA.

(ANTILOPE RUPICAPRA, GEMSE.)

PRZEZ

Dra. M. Nowickiego.

(Ciąg dalszy.)

Słuch kozicy jest także wyborny. Przy panującej w turniach głuchej ciszy, przerywanej niekiedy chyba odzywaniem się ptaszyn siwarnika, wróbla skalnego i gazdy szałasnego, usłyszy ona w znacznej dali tak głos jak każde trzeszczenie i każdy szelest, sprawiony np. chodem człowieka po usuwającym się zwirze lub suchym płuczniku, trąceniem torby lub strzelby o kamień i t. p. Gdy natenczas leżała, zaraz wstaje, nasłuchuje chwilkę, zwracając też piękne oczy w stronę, skąd ją doleciał szelest, i czy co obaczy czy nie, zwykle ucieka. Niemałym też niepokojem nabawiają kozicę kamienie ciągle z wierchów obrywające się i w szalonych podskokach dołu tulające się, a przeto grożące niebezpieczeństwem zarówno ludziom jak zwierzętom. To też wiedząc o tem zapewne z doświadczenia, na pierwszy taki odgłos wynosi się co tchu w stronę przeciwną, a dopadłszy miejsca bezpiecznego, staje, gwiżdże i patrzy za kamieniem, ale równocześnie i w górę, jak gdyby się przed zdradą zabezpieczyć chciała. Nasłuchująca kozica nie strzyże uszyma, lecz ma je zawsze do góry wzniesione. Gdy patrzy na człowieka, nie można dostrzedz, aby drgnęła uchem, tem mniej, aby niem merdzała jak koń lub bydło, choć jej zapewne dokuczają muchy.

Najbystrzejszym ze zmysłów kozicy jest bez wątpienia węch. On też zdradza jej najłatwiej i najpewniej nieprzyjaciela. Czy powietrze czyste czy mgliste, kozice poczują go z wielkiej odległości, zarówno z boku, jak z góry lub dołu, według tego, jaka jest pora dnia i jaki kierunek prądu wiatru, donoszącego ku nim wyziewy człowieka. W suche mgły ciche nie zwietrzą go, zdaniem strzelców, a że przez mgłę i niedobrze widzą, przeto łatwo je wtedy zejść można. Przeciwnie ma się rzecz, gdy wiatr ku nim zawieje, lub gdy mgły opadną ku dolinom, wtedy bowiem poczują nieprzyjaciela z najwyższego nawet szczytu. Jeżeli wiatr tak słaby ku nim zawinie, że nie mogą z pewnością oznaczyć ani oddalenia miejsca, skąd grozi niebezpieczeństwo, ani strony, skąd się takowe zbliża, a przeto obrać kierunku ucieczki, wonczas, jak to widziałem na Mięguszowieckiej, trwożą się, biegają niespokojnie tam i sam, albo stają w kupce, tupkają nogami o ziemię, wyciągają szyję w górę, natężają zmysły do najwyższego stopnia, oko

z uchem idą w zawody z wietrzącym nosem, aby wyśledzić nieprzyjaciela. Zoczywszy go wreszcie, uspokajają się. Zwietrzywszy zasię człowieka dobrze, choćby go nie widziały i takowy w znacznej od nich znajdował się odległości, natychmiast uciekają w stronę przeciwną od tej, skąd je wiatr zawiał. Tak przypatrywałem się raz długo z Wołoszyna gromadce kozic, pasących się u górnego końca doliny Pańszczycy. Widziały one mnie i mego przewodnika dobrze, nie uciekały jednak, gdyż stojących pod wiatr nie mogły poczuć. Skoro atoli tegoż kierunek się zmienił i zwietrzyły nas, jedna z nich gwizdnęła, a na to hasło wszystkie natychmiast umknęły pędem strzały przez Krzyżne ku dolinie za Wołoszynem. Przedziwnie doskonałemu węchowi winne kozice możność uniknienia wielu napaści, udaremnia on bowiem częstokroć wszelkie usiłowania strzelców w podejściu tych zwierząt, o czem szczegółowiej przy opisie polowania będzie mowa.

Zmysł smaku jest u kozic dobrze wykształcony. W wyborze pożywienia są tak wybredne jak kozy; wszakże tylko latem mogą się raczyć przysmaczkami, w zimie bowiem muszą poprzestawać na płonej strawie.

Kierdele i tryb życia kozic. Jak największa część innych przeżuwaczów, tak żyją i kozice gromadkami czyli po góralsku kierdelami, które rozrzucone po pustych turniach, niemniej takowe zdobią, jak różnobarwne kwietniki. Liczba kozic w kierdelu zmienia się, gdyż jedne przyłączają się do niego, inne znowu odłączają. Najliczniejszy kierdel, który w Tatrach szczególnym widziałem wypadkiem, będąc w towarzystwie dra Czerkawskiego na Krywaniu, składał się z 28 kozic; wszystkie inne mniej ich liczyły, najczęściej po kilka. Kozice tworzące kierdel są ze sobą w miłej zgodzie i z wyjątkiem capów w porze rui nigdy nie nastają na się, chyba że się czasem dla rozrywki gżą czyli hukają. Składa on się zwykle z matek, wetul, koźląt i capków, o których strzelcy twierdzą, że się matek najwięcej do czterech lat trzymają. Starsze capy, które często lat 30 dożyją i wtedy siwieją, widziano tylko na wiosnę w towarzystwie kóz i młodych. Przez lato żyją one zwykle osobno, i już to samopas, już też po kilka razem, co sam widziałem ponad Krzyżem na Mięguszowieckiej. Było ich tam trzy. Od św. Michała, w ogóle przed rują, zbliżają się ku kozom, odpędzają od nich młode, zwłaszcza capki, same zaś pomiędzy sobą brują się, jakby próbowały sił do zapewnienia sobie zwycięstwa w czasie zaciętych bójek rujowych.

Kierdel ma się zawsze na ostrożności, a dla tem pewniejszego bezpieczeństwa jedna kozica z jego grona stróżuje, o czem szczegółowo niżej mowa. Zagrożony pierzcha; w miejscach przestrzeńszych i wygodniejszych ucieka zwykle razem, matki z koźlętami zawsze naprzód, capy w tyle. Na zakosach i w ogóle w miejscach wąskich sadzi jedna kozica za drugą, najczęściej gęsiego i tym samym szlakiem. Opowiadają strzelcy, że gdy przodująca w ucieczce skryje się za grań, następna wietrzy (wonia) jej trop, aby wiedziała, którędy za nią biedz. Ubiegłszy spory kawał drogi, przodowniczka czasem stanie i gwizdnie; za nią stają inne i wszystkie obzierają się ku miejscu, skąd uciekły. Na strzał rozpierzcha się kierdel w różne strony; toż po uderzeniu pioruna, ale tylko z wiosny, bo do jesieni kozice nawykają do huku przezeń podczas częstych burz sprawianego. Czy huk strzału odróżniają od pioruna, trudno orzec.

Wyjmujemy tutaj z Tschudego jeszcze następujące ciekawe szczegóły: „Pochód kierdela w niebezpieczne turnie odbywa się nader ostrożnie i zwolna. Wonczas jedne kozice zwracają całą uwagę na złe miejsca przesmyku, gdy tymczasem inne śledzą najbaczniej możebnego niebezpieczeństwa. Widzieliśmy, jak kierdel kozic chciał przejść przez stromy i luźnym piargiem zasypany żleb skalisty, i cieszyliśmy się z cierpliwości i przezorności tych zwierząt. Jedna kozica poszła naprzód, spinając się zwolna w górę, reszta czekała, aż tamta dostała się na sam wierch, a gdy już żadne nie tulały się kamienie, poszła druga, po niej trzecia i t. d. Przybyłe na wierch nie rozchodziły się na paszę, lecz zatrzymały się na krawędzi skały, czekając póty, póki się z niemi ostatnia nie połączyła kozica. Przez drogi udeptane lub w zimie saniami ujeżdżone przechodzi kierdel bez namysłu, ale niełatwo puszcza się za niemi. Nadybawszy zaś niespodzianie na miejscach niezwykłych ślad człowieka w śniegu, przestraszają się nim kozice i albo wracają albo też potężnymi przeskakują go susy, podwajając na dłuższy czas baczność swoją.“

Zazwyczaj kozice pasą się, stoją lub leżą mierendzając. Czasem atoli, mieniąc się bezpiecznemi, porwie ich chętka (matura) do figlowania, i wtedy to wyprawiają gzy bardzo pocieszne, czyli mówiąc góralskim językiem, hukają się. I tak pochyliwszy w bok głowę, postraszy jedna drugą rożkami, lecz jej nie ubodzie, gdyż ta w porę zręcznie na bok odskakuje; niby się strącają rożkami w przepaść, udają, jakoby chciały uderzyć w jedno miejsce, aby szybkością błyskawicy rzucić się na inne niestrzeżone, i tak zaczepiają się nawzajem z największą swawolą, nie uszkadzając się. Ulubionem miejscem ich hukania się są żleby zasypane starym śniegiem, lub pochyłe takowego pomosty na zboczach gór. Kierdelek przybywszy tam, oddaje się z całą swobodą najswawolniejszym igrom, i tak stare jako też koźlątka nader miluchne to skaczą, to uganiają się za sobą. Czasem wychodzi kierdel na górny koniec śniegu, a jedna z kozic zjeżdża po nim dołu z rozpiętemi racicami, już to stojąc przytem, już też takim sposobem, że przycupnąwszy do śniegu, nogi tylne bierze pod się, przednie zasię przed siebie wyciąga. Podczas tego zjeżdżania towarzyszą jej inne ochotnice, z wysoka koło niej hyskające i albo aż dołu z nią pędzące, albo też po jednej w tyle zostające. Skoro wreszcie zjeżdżająca dopadnie piargu, zrywa się w tejże chwili na nogi i nawraca do góry, a za nią sadzą na prześcigi towarzyszki, skacząc potężnymi susy na wszystkie strony. Wrzkomym tym bójkom i swawolnym igrom możnaby się po całych godzinach przypatrywać, a nie znudzić się, odbywając się bowiem z przedziwną lekkością, nagłością i zręcznością, wprawiają widza, zwłaszcza lubownika przyrody, w rozkoszne zdumienie, cieszą go zawsze, choćby je był już kilkakrotnie widział, z drugiej zaś strony słuszne budzą oburzenie przeciw tym wszystkim, którzy bezwzględnie tępiąc te lube zwierzęta, pozbawiają zwiedzacza gór wielkiej przyjemności. Podobnego uczucia doznawałem zawsze w Tatrach, ile razy strzelcy pozbawiali mnie tego miłego widowiska. Igranie i ochota do niego ustaje u kozic natychmiast, skoro zwietrzą człowieka lub go spostrzegą, choćby w największej odległości. Cały kierdel, nie wyjąwszy najmłodszego koźlątka, staje wtedy gotowy do ucieczki, dawna wesołość nie wraca mu już, ciągnie więc powoli ku wierchom lub ku innej stronie, rozpatrując się z każdej turni, nad każdą przepaścią i nie

spuszczając z oka ani na chwilę możliwego niebezpieczeństwa. Według Tschudego uchodzą kozice wtedy na same szczyty. Na krawędzi najwyższego z nich ustawia się cały kierdel obok siebie i bez przestanku spogląda w dół, zwracając głowę z biało połyskującemi policzkami z niedowierzaniem w tę i ową stronę. W lecie trudno zobaczyć tego samego dnia kozice w tej samej okolicy; w jesieni, kiedy w górach mniej ludzi, częstokroć już po godzinie pędzą znowu na dół i zajmują miejsce przerwanej zabawki. O gonitwach capów i ich zaciętych walkach w późnej jesieni i na początku zimy podczas rui będzie niżej mowa.

Latem szukają kozice północnych lub zachodnich zboczy gór, w innych porach roku przekładają cieplejszą stronę południową lub wschodnią. Upału letniego unikają, trzymając się rade miejsc cienistych i chłodnych; w cieniu też zwykle na spoczynek legają. Szczególniej lubią bliskość śniegu, całemi też godzinami po nim chodzą, choćby nań słońce świeciło, i można zaiste powiedzieć, że żyją pół na śniegu, pół na turniach lub pasznistych upłazkach; jednę widziano raz, jak się sposobem konia na śniegu kaczała. W nocy zostają tam, gdzie się pasły za dnia. Ich zwykła postawa okazuje nieustanną gotowość do natychmiastowej ucieczki. Gdy się układają na spoczynek lub nocleg, obierają do tego zawsze piąterko z wolnym widokiem przed siebie i na boki, a zabezpieczające im tył; takie miejsce zowią górale tatrzańscy przeźrocznem. Iżby się uchylały i kryły przed nawalnym deszczem, krupami, gradem i grzmotami, tego nie zauważano, tylko gdy bardzo bije, a one leżą, natenczas wstają. Gdzie je burza zarwie, tam też zostają i stoją lub pasą się; po ustaniu pluty strząsają się. Kładą się na bok prawy lub lewy, przyczem nogi tego boku pod siebie biorą, przeciwnego zaś na zewnątrz wystawiają. Leżące trzymają głowę do góry, poskrobią się czasem rożkiem, mierendzają lub dumają, pozierają czasami ku szczytom lub dolinom, naremnie (gwałtownie) głową tędy i owędy rzucając, wytężają wzrok ku tej stronie, skąd posłyszą odzywanie się ptaka halnego lub odgłos kamienia spadającego. Podczas upału rozciągają się czasem całe na ziemi, gdy jedna strzeże kierdela i tenże jest bezpieczny i śmiały. Ale choć która poleży tak na chwilę, to przecież pilnie dźwiga głowę, poziera tam i sam, toż ku wartowniczce, czy jest spokojną, mierendza dalej i znowu się kładzie. Tak więc i spoczywając mają się kozice zawsze na ostrożności, a zarazem i na pogotowiu do ucieczki, zwłaszcza przebywające w okolicach, gdzie są płoszone, lub takie, na których zgubę człowiek już się zasadzał. Zauważano także, że w lecie w dnie gorące kozice najwięcej leżą i tylko niektóre wstają, pasą się trochę lub chodzą; w jesieni zaś kiedykolwiek pasą się, legają i wstawają, gdyż nie ma upału. Wstając, zrywa się kozica na wszystkie cztery nogi razem, otrząsa się potem i niekiedy wyciąga się, szczególnie na wiosnę. O kozicach reglowych z Alp podaje Tschudi następne szczegóły. „Kozice leśne, przebywające często w pobliżu człowieka, są uważniejszemi i ostrożniejszemi, ale nie tak płochemi jak kozice turniowe. Aby się bezpieczniej ukryć, leżą one największą część dnia po za głazami lub krzakami. I rzeczywiście nie tak łatwo zaczajonych tam dostrzedz, już dla samej ich barwy burej. Spostrzegłszy człowieka, nietylko nie spuszczają z niego oczu swych, lecz ani się ruszą, póki nie zmiarkują, że ich szuka. Wtedy wstają i uchodzą. W górach lesistych umieją się nawet w liczniejszych kierdelach tak poukrywać, że całe towarzystwo myśliwych mniema, jakoby w tem obejściu nie było żadnych kozic. Atoli wprawne oko strzelców odróżnia z pewnością zarówno ich bobki jak ostrzej zakończony i obrzeżony trop, wytłoczony w pulchnej czarnej ziemi leśnej, od bobków i śladów kozy domowej.“

Straż. Że kozice są zwierzętami ostrożnemi, namieniono już kilkakrotnie. Bezpieczeństwo kozicy samotnej polega na jej własnej czujności. To też lubo skubie trawę i gryzie ją, ciągle daje pozór i wietrzy, a jeśli jej nic nie grozi, pasie się spokojnie dalej. Kozice zasię w kierdel zebrane stawiają sposobem świstaków jednę z pomiędzy siebie na straży, by nad ich bezpieczeństwem czuwała; lecz choć się jej powierzą, jednakowoż dają także same pozór i nie przestają być czujnemi. Czy kierdel obiera sobie wartowniczkę, lub też jedna z kozic sama z siebie podejmuje się strażnictwa, trudno orzec. Zauważono tylko, że jak prawie zawsze starsza koza przewodniczy kierdelowi ciągnącemu, tak też obejmuje straż przy nim, gdy się pasie lub spoczywa i igra. Tłumaczy się to łatwo troskliwością matek o młode i stąd wynikającą potrzebą ochraniania ich od nieprzyjaciół. Jakoż kozy są w ogóle uważniejsze, czujniejsze i gorliwsze w czuwaniu niż capy, skąd pochodzi, że capów zawsze więcej niż kóz ubijają, lub młode żywcem łowią, gdy tymczasem rzadko kiedy, i to tylko z największą trudnością udało się schwycić kozę, co zresztą w tem może mieć swoją przyczynę, że capy żyjąc więcej samotnie, łatwiej się zejść dają.

Wartownica trzyma straż w niejakiem oddaleniu i zawsze powyżej kierdela. Na stanowisko obiera sobie przeźroczne piąterko czyli tak zwany po góralsku zapalik, gdzie ma tył zabezpieczony, a wolny widok przed, nad i pod sobą, również na boki. Tam leży lub stoi i mierendza, zachowując wszelką czujność. Czasem pasie się obok zapalika, czuwa jednak i wtedy bez przestanku, poziera bowiem i wietrzy co chwila naokoło siebie, wraca na swój zapalik lub wychodzi na czubek turni, skąd wyprężywszy ciało w górę rozgląda się na wszystkie strony. Gdy tak stoi na wierzchołku, a po za nią widać tło niebios, patrzącamu na nię z oddalenia mniej więcej w tej samej wysokości wydaje się większą aniżeli jest w istocie, jakiego to złudzenia sam doznałem na szczycie Krywania. Koźlątko malutkie jest przy matce i podczas wartowania; starsze trzyma się kierdela, podchodzi atoli od czasu do czasu ku matce, by mu dała possać, w którym też celu matka wstaje, gdy leżała. Piękny to widok pieczołowitości macierzyńskiej obok równoczesnego czuwania nad bezpieczeństwem kierdela! Gdy kierdel pasący się na upłazie przejdzie mimo wartownicy do góry i nasycony lęgnie, wonczas i ona opuszcza swe stanowisko, idzie pasąc się ku kierdelowi, podchodzi znowu wyżej niego i staje na dogodnym zapaliku dla dalszego czuwania. Gdy zaś kierdel dla stromości turni nie może podejść w górę i lęgnie na upłazku, natenczas zdaniem strzelców wartownica paść się idzie.

Przeczuwając niebezpieczeństwo, wartowniczka natychmiast jak świstaki ostrzega o niem towarzyszki swoje gwizdem przeciągłym. Na ten znak cały kierdelek pierzcha w stronę przeciwną od tej, skąd jest zagrożony, lub którędy może, o czem już powyżej była mowa. Gdy zaś nie wartownica, lecz którakolwiek inna z kozic kierdelu zwietrzy lub obaczy nieprzyjaciela, natenczas ta gwiżdże i ucieka na przodku, za nią kierdel, a za tym wartownica. Wydanego przez jednę hasła reszta nie powtarza, jak to

czynią świstaki. Strzelcy twierdzą, że zwyczajnie tylko ta kozica gwiżdże, która pierwsza zoczy nieprzyjaciela; zwietrzywszy go, wcale nie gwizdnie, lecz natychmiast ucieka. Że zresztą i kozica samotna niespodzianie zaskoczona prawie zawsze daje gwizd słyszeć, o tem każdy zwiedzacz gór może z własnych doświadczeń zapewnić tych, którzy z nieświadomości gwizdanie kozicy zagrożonej zaprzeczają lub co innego utrzymują. I tak czytamy n. p. w Popławskiego zoologii na str. 101: „Strażniczka wspiera się przedniemi nogami o jakiś kamień lub pień drzewa, strzyże podniesionemi w górę uszami, wlepia swe duże, wesołe i nieco czerwonawe oko w daleką przestrzeń, a dostrzegłszy niebezpieczeństwo, ostrzega o niem zebrane towarzyszki za pomocą głośnego beczenia, a i sama chroni się gdzie może.“ Niestety kozice ostrzegając gwizdem swoim towarzyszki przed zbliżającem się niebezpieczeństwem, zdradzają zarazem nastającemu na nie strzelcowi obecność swoją w okolicy i miejsce schronienia.

Gwizd kozicy jest stłumiony, przeciągły i donośny. Bliżej go opisać trudno. Kto go raz słyszał, nie zapomni go nigdy i łatwo odróżni od czystego, krótkiego i nader przenikliwego gwizdu świstaka. Zdaniem Tschudego wychodzi on prawdopodobnie przez zęby przednie; Theobald [1]) zaś mniema, że przez rozszczepane wargi, co wcale nie ma sensu, gdyż wargi u kozic nie są rozszczepane. Strzelcy tatrzańscy znowu utrzymują, że kozica wydaje gwizd nozdrzami, opowiadając w tej mierze następne szczegóły. „Podczas gwizdania rozszerzają się nozdrza. Z bliska wydaje się gwizd jako fuczenie, w odległości zaś jako wyraźniejszy świst. Na wiosnę jest grubszy a słabszy, w jesieni zasię cienki a głośny, co strzelcy tem sobie tłumaczą, że kozice w jesieni mają więcej mięsa w nosie i przeto nozdrza ciaśniejsze, tężej też wtedy niemi pędzą powietrze. Koźlę jeno fuka, a nie gwiżdże, o czem strzelcy łowiąc je przekonali się. W jesieni zaczyna gwizdać, słabiej jednak niż kozice stare.“ Jak właściwie gwizd powstaje, temu niepodobna się przypatrzeć na kozicach wolno żyjących; że zaś bywa donośniejszy lub słabszy, któż wie, czy nie należy szukać przyczyny tej różnicy raczej w stosunkach meteorologicznych pomienionych pór roku, aniżeli w tuczności lub chudości kozic.

P o ż y w i e n i e. W ogólności przestawają kozice jak reny na małem, a jak według pór roku zmieniają swe stanowiska, tak też nie jednakową biorą podczas nich żywność. Latem bawiąc w turniach, spinają się po nieprzystępnych upłaskach i skalistych stoczkach ledwie na stopę szerokich, lub po stromych ścianach, i spasają skąpą ale posilną roślinność, właśnie jak gdyby je przyroda na to przeznaczyła, aby spożytkowały i tę część jej darów roślinnych, niejako zaronionych, gdyż bydło lub owce pasą się w halach, a w turnie nie idą, dokąd nawet swojska koza, umiejąca się dobrze spinać, często nie wylezie. Inaczej ma się rzecz przez zimę. Wtedy nie mogą się kozice raczyć wonnemi ziołami halskiemi, lecz muszą się obywać strawą co do pożywności podlejszą, a w czasie zamieci śnieżnych i zim zawalnych i tej im braknie, tak iż trudno pojąć, jak o mrozie i głodzie długą przetrwać mogą zimę.

Co do sposobu żywienia się, jakoteż co do jakości strawy w różnych porach roku, opowiadają strzelcy tatrzańscy co następuje. Po zejściu śniegu na wiosnę kozice jedzą płucnik *(Lichen)*, włosiennicę *(Juncus trifidus)* i świeżo odrastający siwar, co stąd wiadomo, iż te rośliny znajdowano u zabitych w żołądku czyli bachorzu. W lecie mając obfitszy wybór, spożywają młode latorośle i pąki krzewów, trawki i zioła, szczególnie kozłowiec *(Aronicum Clusii)* i marchwicę (*Meum mutellina*). Nadewszystko zaś raczą się łodygami mleczu (*Hieracium*) i czerniaku (*Adenostyles albifrons*), nie tykając ich szerokich liści, które, jak sam kilkakrotnie widziałem z doliny mięguszowieckiej [2]) i indziej, odpadają im podczas jedzenia od ust. Kupki tych liści napotykane tu i ówdzie są oznaką, że w tych miejscach pasły się kozice. W jesieni uważano w żołądku zabitych kozic prócz płucniku najwięcej urzyku (*Homogyne alpina*), zdaje się dlatego, że urzyk utrzymuje się świeżo nietylko w jesieni, lecz także przez zimę, a kozice wolą go niż pomrożone trawy suche, przytem twarde, łykowate i słomowate. Utrzymują też strzelcy, że pomieniona strawa przejmuje wnętrzności kozic goryczą. Pod zimę schodzą kozice ku górnej granicy lasu i tam zostają na zimowisko, o którem niżej mowa. Żywnością ich w ciągu zimy są trawy i zioła na pniu uschłe, po miejscach, gdzie nie ma śniegu lub skąd go wiatry zwiały. Po zasypaniu gór śniegiem wygrzebują z pod niego zapewne sposobem renów mchy, płucnik, żółte porosty (*Haematoma ventosum*, *Rhizocarpon geographicum*), zioła, jak n. p. wietrznicę *(Anemona alpina)* i t. p. W zimach zawalnych zaspokajają głód brodaczką (*Usnea barbata*) [2]) z drzew wiszącą; cierpiąc niedostatek jedzą także cetyny i gałązki świerkowe lub jałowcowe, wierzbinę, jarzębinę, hebdźniak (*Sambucus racemosa*), pręcie jaferu czyli borowiny i bruśniczniaku (*Vaccinium*); w ostatniej potrzebie nawet korę ogryzają. Jakżeż wielka nie zachodzi tu różnica między płonną strawą zimową, a dostatnią i pożywną paszą letnią!

O paszeniu się i spoczywaniu kozic alpejskich w lecie Tschudi tak pisze: „O świcie, często także przy księżycu, schodzą kozice po stokach turni ku dołowi, pasąc się na wyszukanych między turniami murawnikach. Nasycone legają i mierendzają, spoczywając zwyczajnie od 9 do 11 godziny na krawędzi skał pionowych. W południe ciągną pasąc się znowu powoli w górę, poczem aż do godziny 4tej po południu spoczywają, ułożywszy się na cienistej stronie dzikich przepaści, o ile można tuż przy śniegu lub na nim. Wieczorem zwykły nawidzać pastewniki ranne. Po zachodzie słońca kierdel na noc rad układa się wysoko już to w kotlince albo kamienistej dolince między skałami, już też pod przewiesistą skałą (załupą), lub na brzegu groty

[1]) *Leitfaden der Naturgeschichte*, 1864, str. 64.

[2]) Wycieczkując po Tatrach, nocowałem w szałasie tej doliny, a nazajutrz miałem odbyć drogę przez przełęcz Mięguszowiecką ku Morskiemu Oku, a stąd do Zakopanego. Wyszedłszy raniutko z sałasza, dostałem się wnet pod górną granicę kosodrzewiny, gdzie się pasło stado pięknych wołów węgierskich. Dziki ryk i jakiś niezwyczajny ruch pomiędzy nimi zmusił mnie do opuszczenia pérci i obejścia stada. Przebrawszy się wreszcie przez gąszcz kosodrzewiny i podszedłszy zboczem Mięguszowieckiéj znacznie w górę, obejrzałem się ku pomienionemu stadu, mniemając, że je niedźwiedź napadł. Pokazało się atoli, że przyczyną ruchu był wół nieżywy, który zapewne zleciawszy z turni zabił się. Około trupa stały żywe woły i wąchały go, poczem straszliwie ryczały, grzebały ziemię rogami i bodąc się rogami na zabój, zapewne się kaleczyły. Juhasów nie było przy stadzie.

[2]) Tschudi mniema, że w Alpach brodaczka nietylko kozicom daje pokarm, lecz także strzelcowi służy za flejtuch do naboju.

jakiej. Tylko wartowniczka leży zwyczajnie na skale wystającej.“

Myśliwi tatrzańscy nic nie wiedzą o podobnem zachowaniu się kozic w Tatrach. Owszem twierdzą, że kozice pasą się równym trybem rano jak wieczorem, nawet przy księżycu (po miesiączku), o czem przekonali się nocując w górach na zasadzce. Dalej utrzymują, że gdziekolwiek kozica samotna lub cały kierdel w ciągu dnia przebywa na upłasku pastewnym, czy to w szczytach, czy niżej, tam też zostaje, pasie się i nocuje, trzymając się upłaska póty, póki tenże kozicom dostarcza paszy lub takowe nie zostaną spłoszone, poczem przenoszą się w inne miejsca, nie wracając rychło do dawnych. Podczas mych wycieczek po Tatrach także nie mogłem spostrzedz, aby kozice tutejsze w ciągu dnia odbywały podobne wędrówki jak alpejskie, owszem stwierdziłem właśnie co namienione opowiadania górali. Inne zachowanie się kozic tatrzańskich w tej mierze zdaje się mieć w tem główną przyczynę swoją, iż Tatry mimo swej znamienitej wysokości są górami mało rozległemi, a latem w nich wszędzie pełno bydła pasie się po halach i liczni turyści wycieczkują po nich i po krainie turni. Nie mogą więc kozice tatrzańskie iść swobodnie za popędem obyczaju wspólnego wszystkim kozicom, lecz ograniczone w przestrzeni stosują się do okoliczności, wśród których żyją.

Inaczej ma się rzecz z przenoszeniem się kozic z jednej okolicy w drugą. Czynią one to nietylko w skutek płoszenia ich lub dla braku żywności, lecz także z własnego popędu, czyli mówiąc językiem strzelców, ze swego umysłu. Wędrówkę taką zdaniem myśliwych odbywają już to przed wschodem słońca lub wieczorem po onegoż zachodzie, już też wtedy, gdy mgły przysiędą szczyty i doliny, albowiem są wonczas śmiałe i pewne, że ich nikt nie wypatrzy. Rozciągłość i kierunek tych przesiedlań zależy od okoliczności zostających w związku z rozłożeniem gór. Czasem przenoszą się wierchem lub przełęczą tylko z jednego zbocza góry na przeciwne, inny raz schodzą w dolinę i ciągną ku któremu z wierchów okolicznych, a czasem i tu się nie ostoją, lecz przechodzą szczyt i nową dolinę, by się dostać do trzeciego wierchu lub jeszcze dalej.

Mówiąc o pożywieniu, namienić tu wypada i o napoju. Tschudi twierdzi w tej mierze, że kozice nierównie dłużej znoszą głód niż pragnienie i że w Alpach jeszcze przed dwudziestu laty, gdy przestrzegano zakazu polowania w górach kantonu Glarus, widywano kierdelki, jak przed wschodem słońca wychodziły z lasów do poidła. W Tatrach, acz wody nie brak aż w krainę turni, nie zdarzyło mi się spostrzedz kozicy pijącej; nikt też inny tego nie widział, przeto i bliższe szczegóły pojenia się kozic są niewiadome. Zauważano tylko latem, że kozica znajdująca się na śniegu, bierze go do pyska, o czem sam się przekonałem, gdym się przypatrywał z przełęczy Mięguszowieckiej trzem capom igrającym na pomoście śniegu pod Krzyżem nad Morskiem Okiem. Pewien strzelec widział raz kierdel kozic, brodzących prawie po kolana w płytkim stawku, dokąd wszakże zdaniem jego udał się li dla doskwierającego upału, kiedy to i bydło zwykło iść do wody. Inny znowu widział z daleka jednę kozicę przy wodzie, ale nie dostrzegł aby piła, owszem zdawało mu się, iż tylko woniała wodę. Pod Zawratem po nad Zmarłym Stawem widział Dr. Janota na tłoczku, po którym sączyła się strużka wody, tuż przy niej trop kozy z koźlęciem, który okazywał, że one nietylko przeszły tamtędy, ale że się nad wodą zatrzymały i niezawodnie piły. W zimie, jak mniemają strzelcy, kozice jedzą śnieg albo może piją ze źródeł niezamarzających.

Wzmianki też godna, że jak inne przeżuwacze, tak i kozice lubią sól i rade nawidzają wapienie z wykwitem solnym czyli tak zwane solniska. O alpejskich Tschudi w tej mierze następnie pisze: „Kozice przybywają z odległości kilkumilowej do solnisk, zwłaszcza jeżeli te są obfite; nalizawszy się soli, leżą w pobliżu wody, do której potem pić idą. Strzelcy takowe solniska nietylko starannie utrzymują, lecz także posypują je solą i nigdy kozic przy nich nie strzelają, aby ich z owej okolicy nie wypłoszyć na czas dłuższy.“

O solniskach naturalnych w Tatrach nic się dowiedzieć nie mogłem, zdaje się wszakże, że ich nie brak w tych górach. Według podań starych strzelców miały się kozice ongi zbliżać do solnisk, zakładanych dla owiec na koszarach. Teraźniejsi przeczą temu i słusznie, bo sól daje się bydłu blisko sałaszów, dokąd kozice, ciągle prześladowane i przeto płochliwe, nigdy nie chodzą. Jakoż zą szczególny wypadek to poczytać należy, że widziano raz kozicę w halach pośród stada wołów, przy których nie było juhasów czyli pasterzy.

Ku jesieni kozice mocno tyją, a najbardziej spasione są około św. Katarzyny. Po ściganiu czyli rui, niżej szczegółowo opisanej, chudnieją przez zimę coraz bardziej, lubo niekoniecznie, jak słusznie namienia Tschudi, z braku żywności, albowiem takowa, acz jałowsza co do pożywności, znajduje się, z wyjątkiem pory gęstych zamieci śnieżnych, w całych górach jeszcze podostatkiem. Na wiosnę są kozice najchudsze i nic wtedy łoju na sobie nie mają. W związku z tucznością lub chudością kozic zostaje także ich rozmaita ciężkość. Koźlęta letnie dochodzą w późnej jesieni tylko 12 do 20 funtów wagi, roczniaki ważą 20 do 30, starsze kozy 30 do 50, a capy 60 do 85, rzadko w jesieni do 90 funtów. Takiego capa starego ubito raz w Tatrach w czasie rui pod Młynarzem. Ważył on do 90 funtów; samego łoju nietopionego miał do 8 funtów. Większego capa od niego nie widziano w Tatrach. Według Tschudego ważą kozice czasem do cetnara, a raz zabito nawet capa ważącego 125 funtów; był to duży cap, góralom pod nazwą Rufeli dobrze znany, który przez wiele lat nawidzał niskie doliny, drwiąc sobie z wszystkich sztuczek czyhających nań myśliwych, aż go wreszcie przebieglejszy odeń strzelec Bläsi ubił.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Bywało i u nas wesoło.

PRZEZ

Kaźmirza hr. Wodzickiego.

Sięgam pamięcią w oddaloną przeszłość, upłynęło już lat przeszło czterdzieści, lecz dziewicza pamięć młodzieńca rylcem naznaczyła zdarzenia, a serce do tej chwili pieści wspomnienia serdecznej gościnności, doznanej w księstwie Poznańskiem.

Wtedy nie czułem niepokoju o przyszłość, nie było tak czarnej żałoby po klęskach na ziemi ojczystej, kłopoty i troski nie ryły przedwczesnych zmarszczków na czołach obywatelskich — przeciwnie w jesieni zjazd za zjazdem, uczta za ucztą, wreszcie polowania ubarwiały życie. Konie i powozy, stroje modne i wytworne, przy biesiadach pękały butelki, ziemi naszej nie deptał cudzoziemiec, lud nie zostawał pod zgubnym wpływem racyonalizmu. Obywatelstwo zbite w jeden zastęp czuło się jeszcze u siebie i na swych śmieciach żyło po sąsiedzku, gorliwie przechowując przekazane tradycye. Lecz wtedy tak jak obecnie, a może i w przyszłości, szlachcic żył uczuciem, uczucia szukał, zawiedziony i zdradzony nieraz, nie stygł, bo łudził się nadzieją zdobycia życzliwości w sercach, bijących pod pancerzem pomorskim, niepomny, że potomków tego zakonu niczem nie ujmie i z toru nie zbije, hasłem ich bowiem: wydrzeć, utrzymać, w środkach nie przebierać. Tak też działają do dzisiejszego czasu. Ta sama bezwzględność i żelazna konsekwencya, których srogo doznawali nasi przodkowie, pozostała w ich kościach i krwi, skamieniała w duszach. Obywatele przejęci uczuciem, pragnęli też uczuciem zdobyć lepszą przyszłość, opierając swe nadzieje na traktatach, na sprawiedliwości, czuli się na legalnym gruncie, więc usiłowali ująć wyższych urzędników, zyskać zaufanie, wytworzyć *modus vivendi*, zapewnić równouprawnienie, zachować swe wpływowe stanowisko, nie pamiętali, że antagonizm szczepowy stawia zaporę nie do przebycia.

Wtedy to urzędował dygnitarz starożytnego rodu teutońskiego hr. F., człowiek wykształcony, gładki, na pozór obywatelski, z dyplomatyczną powierzchownością. Była to uosobiona postać wysokiego i zręcznego urzędnika z wyższym polorem. Starano się ująć go i sympatycznie usposobić, nie dostrzeżono wszakże, że w tym umyśle zapisanem było na podstawie historycznych, dyplomatycznych i socyalnych, przewrotnych wywodów, iż my nie mamy racyi bytu. Taki sobie postawiwszy aksiomat, postępował on systematycznie i wytrwale, pokrywając zręcznie swe dążenia blichtrem wyższego świata. Otóż dygnitarz ten przywoził z sobą sprytnego i podejrzliwego sekretarza, czystej krwi Niemca. Postać to była typowa, wyschły jakby z komina wyjęty, różnił się tem tylko od szynki, że nie był solony. Oba byli namiętni myśliwi, a po za sprawami politycznemi byli towarzyszami przyjemnymi i rozumnymi tak w lesie jak przy stole. Sekretarza jednak gryzł robak podejrzliwości, podszytej tchórzem, który mu nieustannie lał truciznę w duszę, bo wszędzie widział bunt, a w każdym z nas upatrywał spiskowca.

Niejeden z czytelników zawoła, iż takie wspomnienia nie należą do kolumn „Łowca", niech wszakże się uspokoi, będzie mowa i o polowaniu, musiałem wszakże zbudować naprzód most, prowadzący do tego przedmiotu.

Obywatel, u którego odbyło się pamiętne polowanie, uposażony był niepospolitym darem przygotowywania dla gości swoich najróżnorodniejszych niespodzianek, żadne też polowanie bez nich obejść się nie mogło, a zawsze były one nowe, poruszające i bawiące wszystkich. Na polowanie, o którem pisać zamierzam, zamówił on cichaczem z miasta 24 niemieckich muzykantów. Czy katastrofa, która nastąpiła, była rozmyślnie przygotowana, czy też przypadkową, ani ja, ani który z uczestników tego polowania do dziś rozstrzygnąć nie zdoła, pozostanie to wieczną tajemnicą, tem bardziej, że gospodarz się oburzał, gdyśmy go posądzali, że ją przygotował dla naszej rozrywki.

Kto nie był w dawnych strugach księstwa Poznańskiego, ten ich sobie wyobrazić nie zdoła. Może mieszkańcy Pińskich bagien posiadają podobne topiele, zarośnięte drzewem, nikt inny myślą nawet nie sięgnie do tej leśnej dziczy, w Europie jakoby indyjskiej. Dziś już niemiecka kultura i wytrwałość kanałami i rowami osuszyła lesiste bagna, po nich stąpa śmiało obca noga, znikł z tej czarodziejskiej przestrzeni wszelki urok dla myśliwych. Ani pendzel, ani pióro nie zdoła przedstawić tych dzikich, niebezpiecznych zarośli i lasów, ja też z istotną nieśmiałością przystępuję do ich naszkicowania. Na szerokiej płaszczyznie prują chmury odwieczne olchy swymi wierzchołkami, nieboszczki pławią się w błocie, topiąc uschnięte i rozczochrane korony w wodzie. Kępa na kępie, sitowiem pokryte, żywe jeszcze pniaki ozdobione wieńcem przedśmiertnym latorośli, wśród nich krzaki pomiętoszonej czarnej wierzby, kędzierzawej łoziny i wiklin, pokrzywy pną się do kilkumetrowej wysokości, wszystkie zaś te zarośla obwinięte wijącym się chmielem, szukającym spoczynku na wierzchołkach. Płoty, wieńce, festony i gierlandy, ozdobione żółtawemi szyszkami chmielu, szumią, szemrzą i jęczą wraz z powiewem wiatru. Topiłem się nie na jednem bagnie, błądziłem nie po jednym lesie, zwalczałem niezwykłe trudności, piętrzące się na każdym kroku siłą młodości i siłą myśliwskiej namiętności, wysilenia jednak w tych strugach z żadnem innem porównać nie mogę. Bagno rzadkie, na powierzchni woda, głębokość rozmaita i stopniowana, sprawiająca nader chłodne niespodzianki, w głębi zgniłe pniaki, ukryte łomy, zatopione sękate gałęzie, pokryte zdradliwą trawką, mchami, gdzieniegdzie paprocią. Zapędzałem się w taką dzicz niebezpieczną za bażantami, dziko chowanymi w wielkiej ilości, za kaczkami, cietrzewiami i kszykami, wciskałem się w sploty chmielin i pokrzyw tak gęstych, że musiałem sobie nożem torować drogę, aby się uwolnić od więzów, ścielonych mi przez Silwanów. Od dzieciństwa zagłębiałem się w dziedzinę przyrody, specyalnie w celach ornitologicznych, raz zabiłem dwoma strzałami dwa zupełnie nieznane mi ptaki. Wiedziałem, że należą do grzebiących, lecz nie umiałem oznaczyć gatunku, dopiero później dowiedziałem się, że to były cietrzewie w pierwszem upierzeniu, ledwie lotne. Posiadałem wtedy ulubionego szkockiego psa, niezmiernie rozumnego, jak to mówią mowy ludzkiej mu tylko brakowało, lubił polowanie i dzielnie mi pomagał, ale nie stawał ani do ptaka, ani do zwierza, dawał mi tylko znak swym puszystym ogonem, szybko poruszanym, że wietrzy zwierzynę. Może sobie czytelnik łatwo wyobrazić, jak piszący z kapslową strzelbą w skokach dążył po tem bagnie do posuwającego się szybko-

szkota, utykając, przewracając i topiąc się. Dante w swem piekle mógł był umieścić takie polowanie. Była to istna zuchwałość, niebezpieczna gra namiętności, bez znajomości tych głębin narażać się na kalectwo lub śmierć. Młodość wszystko pokonywała, myśliwy wracał do domu poparzony, poszarpany, pokaleczony, ale z pełną torbą najrozmaitszej zwierzyny, pod którą się uginał. Bażanty, cietrzewie, kaczki i kszyki wywodziły się w tych zaroślach, nieprzystępnych w lecie dla stopy ludzkiej. Wielka ilość sarn chroniła się w tej fortecy, niezdobytej przez myśliwych, a lisy żmijki ściągały się tam za ptactwem i często lisiura wymykał na strzał z kępiny. Niektóre źródliska były prawdopodobnie cieplicami, bo podczas lekkiej zimy woda i błoto nie zamarzały, cienki lód nie dawał przystępu, zwierzynę jednak znosił. Wtedy inne były dla myśliwego tortury, bo w jednem miejscu znosił lód myśliwego, w innych pękał i pogrążał go w mroźne błoto po kolana, niekiedy nawet głębiej. Zając stronił od tych topieli, samce przebywały tam w porze parkotni, chłodząc rozogniony temperament, w zimie zaś licznie ściągał do tego ciepłego i spokojnego zacisza.

Wyruszyliśmy w kilkanaście strzelb przy lekkim mrozie do tej strugi, rozstawiono nas w miocie od pola w staropiennym lesie olchowym. Zatrąbiono i o dziwo — na całej linii zagrzmiał harmonijny marsz i czarodziejsko postępował ku myśliwym. Nie długo trwało nasze wzruszenie i radośne wrażenie, niebawem takt począł drgać, harmonia straciła równowagę, niektóre instrumenta wydawały fałszywe tony, w końcu trąba zalamentowała, flet pisnął, zamruczała basetla, zadrżały struny na skrzypcach, talerze zadzwoniły, bęben uderzył po raz ostatni i ustaliła się złowroga cisza. Po chwili w szeregu nagonki dają się słyszeć żałośne głosy, rozpaczliwe niemieckie lamentacye: *Rettung, Rettung, um Gottes Willen!* i klątwy, podsłuchane u szatanów. Śród tych jeremiad srebrne, dźwięczne śmiechy młodych naganiaczów, uszczęśliwionych katastrofą ciężkich i otyłych muzykantów. Dorozumiałem się i wystawiłem sobie pocieszną katastrofę, w błocie śród pękniętych lodów siedzących Niemców. Lament nie ustawał, stał się chrypliwym. Spojrzałem na prawo i zobaczyłem dygnitarza uśmiechniętego, potrząsającego głową, widocznie zrozumiał on sytuacyę i bawiło go to. Przeciwnie działo się na mojej lewej stronie, sekretarz grobowo blady podszedł ku mnie i wzruszony rzekł: *Es geht ja schon los.* Widząc tę steroryzowaną postać, spazmatycznym wybucham śmiechem, tak, iż ledwie zdołałem wyjąkać: *Ja, die Jagd geht los.* On śmiechem moim wcale nieuspokojony, mówi patetycznie: *Es muss dort etwas grässliches vorgegangen sein.* Sekretarz zaalarmowany i niespokojny ledwo dał się namówić do powrotu na swoje stanowisko, gęste bowiem padały strzały na naszej linii. Mego śmiechu mi nie przebaczył, o czem się niebawem czytelnicy przekonają. Kto nie widział popłochu zwierzyny wobec 24 instrumentów, wystawić go sobie nie może, sarny i zające tłukły się i zabijały o pnie drzew, a uciekający lis tak machał kitą, podnosił ją i rzucał na bok, że mi się lisy dwoiły. Już ku końcowi nagonki pędzi na moje stanowisko młoda sarneczka, uderza głową o olchę, utyka, spina się, przewraca w tył, podnosi się i pada, drgnęła, rzuciła racicami i skonała koło mnie w konwulsyjnych ruchach. W tej samej chwili nad biega pędem rozszalałym zając, strzelam i po tych wszystkich wzruszeniach chybiam. Schodzą się po ukończonym miocie, harmonią przegonionym, myśliwi w różowych humorach, z uśmiechem na ustach, swoboda wieńcem ich otacza, w koło gwarno i wesoło. Wtem szepce nadleśniczy do ucha gospodarza: „Młody hrabia kózkę zabił.“ Krzyk potępienia mnie ogłusza, sypią się żarciki i grzeczne przycinki, a ja stoję jak skazaniec pod pręgierzem. Już mi chcieli przypiąć order kozobójcy, więc gdy race sarkazmów gasnąć poczęły, zawołałem głośno: Sarna się sama o drzewo zabiła, a jam niewinnie posądzony, muzyka była powodem jej śmierci. Pospieszono do ofiary, oględziny ni rany ni farby nie wykryły, pomimo tego wyrok mnie potępił, twierdzono bowiem, że czasem wpada śrót niewidocznie do wnętrzów zwierza. Niemcy ani słowem nie bronili mnie, utrzymując, że nic nie widzieli. Feralny to był dla mnie dzień, niewinność znieważona, moja miłość własna zdeptana, honor mój myśliwski obrażony, przyszłość w tym zawodzie zagrożona, młodzieniec pełen ambicyi wstydem okryty. Krew mi do głowy uderzyła, oburzenie z powodu tej niesprawiedliwości rozpierało mnie, czerwony jak mak polny, z gorączkową pulsacyą, drżącym od wzruszenia głosem zawołałem: Proszę gospodarza zetrzeć ze mnie to podejrzenie i zmyć hańbę myśliwską, gdyż jej nie zniosę. Nie byłem limfatycznego temperamentu, miłość własna była wygórowaną, więc w tej chwili zbrodnia przypisywana mi zdawała się być straszną. Uczucia tępieją z wiekiem, w późniejszych latach nieraz wiozłem kozę do domu, nieraz zdobiła ona stół, dostarczając smacznego pieczystego. Nieszczęsne jedno wspomnienie zatruwa mi życie do tej chwili. Leśna psotnica srogą karę za jakieś przewinienie mnie wymierzyła, sprawiając, iż jakimś niepojętym sposobem, mocą zaiste jakąś czarodziejską, zabiłem raz dubletem dwie kozy. Lata minęły, a ja w lesie polując na sarny wołam: *mea culpa* i niepokoju pozbyć się nie mogę. Gdy w gęstwinie biegnie na mnie stadko, modlę się do Sylwanki, aby mnie nie wiodła na pokuszenie i płci nie zakrywała. Wracam do wypadku. Zdaje się, że postać moja, gniewem i oburzeniem przejęta, głos podniesiony w gorączkowym nastroju, uczyniły wrażenie, lękano się awantury wobec cudzoziemców, więc przystąpiono do obdukcyi ofiary. Grono myśliwych otoczyło wieńcem podleśniczego zdejmującego skórę i wszystkie oczy zwrócone były na postęp tej operacyi, ja zaś przez ten czas siedziałem na pniaku i ocierałem pot z czoła mimo cisnącego mrozu. Tak było ustalone przekonanie u wszytkich o zabiciu sarny przez młodzieniaszka, iż nawet wtedy, gdy po zdjęciu skóry żadnego draśnięcia ciała dostrzedz nie było można, jeden z myśliwych zawołał: „Może mieć strzał w wnętrznościach.“ Wypatroszono kozę, lecz i trzewia strzału nie wykazały, natomiast wykryto pękniętą wzdłuż czaszkę i strzaskaną kość czołową. Przepraszano mnie, winszowano, wieczorem pito na cześć mej przyszłości myśliwskiej z życzeniem zachowania drażliwego uczucia, w końcu zabalsamowano zadaną mi ranę. Scena mego zadośćuczynienia przerwaną została arcykomicznym epizodem. Usłyszeliśmy jękliwy głos: *Jemine, das waren Strapatzen, Schulze, reichen Sie mir die Hand, ich kann nicht heraus,* i nawoływania Schmidtów, Schneidrów, a który z nich wydobył się z błota, miał *Donnerwetter* na ustach. Jeden po drugim z przezorności gęsiego wyłaził ze strugi śród pustego śmiechu naganiaczów, wzmagającego się w miarę gniewu Niemców. Typowe to były postacie, każda godna fotografii, po tylu latach stoją one żywe w mojej pamięci, ugrupowane stanowiłyby komiczny zbiór karykatur. Rozgorączkowani, znużeni nad miarę, potem okryci, po pas powalani rudem błotem, z wodą spływającą z ich odzienia, byli w istocie pożałowania godni. Trzech z nich mógłbym wiernie przedstawić. Jeden w brunatnych sukniach, z piekłem w oczach, z rumieńcem na twarzy, straciwszy mowę wyszedł, rozkrzyżował ręce, w jednej trzymał smyczek, w drugiej skrzypce,

stanął wobec nas jak posąg z wyrazem rzucanego przekleństwa. Drugi mały, barczysty, z wystającym beczkowatym brzuchem, w ubraniu jasnem, zabłoconem, w żółtych sztylpach. Westchnął żałośnie, spojrzawszy na swe odzienie, załamał ręce i jak skamieniały pozostał w tej żałobnej pozie. Trzeci najpocieszniejszy był łysy jak kolano, włosy z tyłu na czoło przyciągał i przylepiał na niem. W nieszczęsnej tej dla muzykantów kampanii stracił czapkę, gałęzie i zarośla zburzyły ów sztuczny budynek włosów, na karku bowiem wisiała jakoby peruka. Stał biedak z rozpaczliwym wyrazem na twarzy, wylewając z poważnej basetli błoto z wodą, skrapiając łzami swoją niedolę. Nie długo trwało ponure milczenie Niemców, wysapawszy się należycie poczęli kląć na czem świat stoi, a piekło mogło było pozazdrościć szatańskiej wymowy. Najlepszym dowodem złości podniesionej do zenitu, była obojętność dla półbeczki piwa, słodkiej wódki, sera, kiełbas i wieprzowiny, za którą przepadają. Ruszyliśmy wreszcie do drugiego miotu, przez długi czas jednak słyszeliśmy jeszcze odgłos tej burzy.

Tak ubiegał dzień po dniu, posuwając się w głębszą zimę. Zdawało się nam, że wyrzeczenie Woltera: „wszystko jest dobrem w najlepszym naszym świecie“, jest rzeczywistą prawdą. Dług obsiadał dług, powiększał się nieznacznie, jak zaspa śniegowa, gmachy murowane wznosiły się za pożyczane pieniądze, ciężary poczęły gnieść, duch wprawdzie pozostał czysty i silny, uczucie zawsze gorące, lecz stopniowo i nieprzerwanie wysuwała się ojcowizna z rąk naszych.

Dożyłem niebawem miłej sposobności pomszczenia na dygnitarzu zdrady, popełnionej na mnie przy zabitej sarnie. Polował on w okularach, wzrok nie zawsze mu dopisywał, za nim stał strzelec, dający mu wskazówki. W dniach pochmurnych nie widział, chybiał zwierzynę lub przepuszczał ją, czem narażał się na przycinki i żarty, których nie lubił, a szczególnie od nas kwaśno i chmurno je przyjmował. W tej wsi Bydgoskiego powiatu, w której polowaliśmy, nosili szwabi ogony lisie na czapkach, podobnie jak nasi huculi, ale w innym kierunku naszyte. Na jednem stanowisku stojąc koło dygnitarza, słyszę strzał i następną rozmowę. Strzelec poruszonym głosem woła: „Bogu dzięki, jeszcze żyje!“ Hrabia F. gniewnym tonem odpowiada: „Jak to żyje?“ i strzela raz drugi mimo lamentu strzelca. Cóż się stało? Oto szwab z po za krzaku ukazał swoją czapkę, do której dygnitarz strzelił, poczem przestraszony wpadł do rowu, a po chwili wychylił się z niego rekognoskując teren i otrzymał w czapkę drugi strzał, którego śróty szczęśliwie futro tylko potargały, nie naruszając głowy naganiacza. Po ukończonym miocie przysunąłem się do dygnitarza i szepnąłem cicho: „Podobno w Poznańskiem większa bywa wymierzana kara do strzelającego do Niemców, jak na mniemanego kozobójcę.“ Skrzywił się, zerknął ku mnie okiem bazyliszka i zapewne nie wpisał mnie w poczet swych sympatycznych znajomych.

Zmieniły się czasy i stosunki, inny przedstawia się obraz kraju, wrażenia i poglądy odmienne, nieco żałobą okryte, nasz kraj odziany w cudzoziemskie szaty. Ongi nie znaliśmy giętkich i elastycznych konstytucyi, nie znali parlamentów, tych matek rodzących ministerya, nie posiadaliśmy drutów, przenoszących myśl w minucie przez kontynent i w zamorskie kraje, ani autonomii, wysysającej soki z ubogiego kraju, ani wysoko postawionych, wpływowych naszych dygnitarzów, którzy, jak sami twierdzą, pracę swą poświęcają podniesieniu naszego dobrobytu i usunięciu opłakanego stanu ekonomicznego. Nie posiadaliśmy tych cennych politycznych klejnotów, lecz było więcej swobody i humoru, więcej pieniędzy, a mniej wydatków, mniej troski o przyszłość, w końcu, co najboleśniejsze i niepospolitej doniosłości, od tego czasu stopniowo i bez przerwy przechodzą tysiące morgów ojczystej ziemi w obce ręce.

Olejów 20. Czerwca 1884.

Bractwa strzeleckie i strzelanie do kurka.

PRZEZ

C. Kochanowskiego.

Według Szajnochy w dziele „Jadwiga i Jagiełło“ pierwsze początki strzelania do kurka i zawiązywania się w bractwa strzeleckie, wprowadzone zostały we wschodnio-północnej części Europy, a mianowicie staraniem wielkich mistrzów krzyżackich. W uroczystościach tych uczestniczyła cała ludność, a sięgają one pierwszych początków wieku XIV. Z ziem pod władzą krzyżaków rozpowszechnić się miały po innych okolicznych miastach, jak zaś prędko na obcych ziemiach się przyjmowały wskazuje to, że u nas w Polsce w połowie wieku XV. już jako „stary obyczaj“ odbywało się strzelanie do kurka bardzo solennie w Krakowie, w drugi dzień świąt Zesłania Ducha św. na tak zwanym Celstacie na Kleparzu. W Krakowie bezwątpienia został ten zwyczaj wraz z licznymi przybyszami niemieckimi, którzy w tym czasie nadzwyczaj silnie Kraków osiedlali, zaprowadzony.

Cel, jaki wielcy mistrzowie w zaprowadzeniu tej zabawy mieli, był: wykształcenie zdolnego do obrony murów twierdzy, w razie napadów nieprzyjaciół, mieszczaństwa. Była też inna przyczyna wytworzenia bractw strzeleckich. Przy onej samowoli rycerzy średniowiecznych, rozbijających wszystko i wszędzie, najgorzej wychodziły miasta, jako zajęte w przeważnej części prowadzeniem handlu z dalszemi stronami. Musiały liczne cła, haracze opłacać, a pomimo tego często ich towary, zanim do miasta przybyły, dostawały się w ręce rycerzy — rabusiów.

Nieprzyjaźne te stosunki wytworzyć musiały w nich myśl utworzenia zdolnego do obrony mieszczaństwa, zaprowadzono więc ćwiczenia w strzelaniu, jako cel dano kurka, aby zaś przytem pewną okazałość rozwinąć, jak również interes mieszczaństwa obudzić, wprowadzono pewne przywileje i oznaki honorowe. Szczególniej czynnemi były w tym względzie miasta wielkiej niemieckiej Hanzy.

Stowarzyszenia niemieckie dzieliły się na Rüstungsschützen i Bogenschützen, lecz tylko jeden korpus strzelecki tworzyły i z czasem w skutek rozmaitych nadań i przywilejów, obdarzających je niemi książąt niemieckich, nabrały pewnego znaczenia. W celu ćwiczenia się w strzelaniu odbywano w pewnych porach roku publiczne strzelanie do ptaków, później do tarczy, przy największym udziale publiczności. Pierwszym w zapiskach znajdującym się wypadkiem ćwiczeń było strzelanie do ptaka w mieście Swidzniu w pierwszych latach pierw-

szego dziesiątka wieku XIV. Lipskie Stowarzyszenie strzeleckie, jedno z najstarszych, założone zostało w r. 1443. W historyi Niderlandów z wieku XIV. w wojnach z Hiszpanią, Francyą i jako podstawa demokratycznej opozycyi przeciw partyi arystokratycznej, występowały często niderlandzkie Schuttery i znaczne korzyści tak państwu jak i swemu stronnictwu przynosiły.

W późniejszych wiekach zaczęły bractwa strzeleckie coraz bardziej swój pierwotny charakter zatracać, i zwolna zmieniły się w pojedyńczych niemieckich miastach i państewkach w ogólne uzbrojenie mieszczan, z czego jeszcze później ogólna obrona krajowa powstała. W większej jednakże części miast zamieniły się wyłącznie w Towarzystwa do rozrywki, bez jakichkolwiek innych ubocznych celów, i odznaczają się chyba tylko posiadaniem wspólnej strzelnicy, urządzaniem corocznem festynu i pewnemi odznakami i podarkami, które jako zabytki dawniejszych przywilejów dotychczas się zachowały. W niektórych niemieckich miejscowościach spełniają to jeszcze zadanie, że gdzie brak osobnych organów władzy w mieście, one pewien rodzaj policyi miejscowej wykonują.

Najdawniejsze bractwa strzeleckie u nas w Polsce istniały lub jeszcze istnieją w miastach Krakowie, Warszawie, Lwowie, Poznaniu, Włocławku i wielu innych mniejszych miejscowościach. W Krakowie swego czasu przy festynach przez Stowarzyszenie strzeleckie urządzanych, bywał król Jegomość z całym licznym swoim dworem i najznakomitsi panowie szlachta, którzy wcale nie „sromali się“ razem z mieszczańskim stanem do kurka strzelać. Naczelnikiem bractwa był „król kurkowy“. Władza jego trwała rok cały, jeżeli mu jej kto inny na drugi rok nie odebrał, lub też sam przy strzelaniu zwyciężył, to znowu dalej na rok królem zostawał

Uroczystość strzelania i obioru króla odbywała się w następujący sposób W drugi dzień Zielonych Świąt rano zgromadzali się strzelcy na rynku, a zebrawszy się w porządku żołnierskim z rozwiniętą chorągwią na czele i z muzyką wyruszali naprzód do kościoła. Po południu tego dnia ruszano po starego króla do jego domu i prowadzono go w licznem towarzystwie do strzelnicy, gdzie się wraz z przybyciem starego króla strzelanie zaczynało. Jeżeli dotychczasowy król został zwyciężony, wtedy zdawał insygnia swojej władzy następcy. Insygnia te był łańcuszek, wiszący na szyi, na którym uczepiony był srebrny kurek. Kto odstrzelił skrzydła, ogon, lub głowę kurka, dostawał misę cynową, na której wybite było wyobrażenie tej części kurka, którą odstrzelił; kto kurka w pierś trafił, zostawał „królem kurkowym“. Wtedy pobity król zawieszał sam zwycięzcy łańcuszek z kurkiem na szyję, i wśród okrzyków strzelców i publiczności przy odgłosie krzykliwych instrumentów odprowadzano go do jego pomieszkania, gdzie się uczta dla strzelców-towarzyszy i znakomitszych osób z miasta odbywała. Podczas pochodu do domu rozrzucał nowy król hojnie na wszystkie strony pieniądze. Urząd ten honorowy prócz samego zaszczytu przynosił jeszcze wiele innych materyalnych korzyści, a osobliwie w Krakowie miał król kurkowy dość znaczne przywileje. Mógł on dla siebie 99 beczek wina wprowadzić bez cła do miasta, co naturalnie znaczną korzyść przynosiło i przynosić musiało. Że przywilej ten nie był zupełnie po myśli późniejszych zarządców miasta, kasztelanów krakowskich i Króla Jegomości, dowodem ta okoliczność, że w r. 1765. w miejsce tego przywileju 300 złp. królowi kurkowemu przeznaczono. W Krakowie przechowuje się jeszcze srebrny kurek, dar króla Zygmunta Augusta z r. 1565 bractwu strzeleckiemu ofiarowany. Kurek ten, kiedy w 18 wieku była potrzeba, zastawiono za 2700 tynfów. Najwięcej przywilejów nadał bractwu strzeleckiemu w Krakowie król Władysław IV., uwalniając od ceł, podatków i danin, chcąc w wyrobionem mieszczaństwie tak Krakowa jak innych miast mieć przeciwwagę przeciw stanowi możnych.

Tak tu jak wszędzie indziej strzelano naprzód z łuków, później, kiedy broń palna w powszechny użytek weszła, z tejże do kurka, później do tarczy. Kiedy jednakże strzelba w używanie u bractw strzeleckich weszła, nie można dokładnie powiedzieć, w polskiem jednakże wojsku już w początku panowania Jagiełły była znaną, Naruszewicz bowiem mówi (tom. VI. str. 183), że w r. 1383 „Mikołaj pleban Czechowski ciekawie na ulicy atakowi przyglądający się, kulą kamienną z działa ubity został“, a na stronie 192: „Zebrawszy 30 kopijników i kilkunastu strzelców“, w dopisku do „strzelców“: „Nie wiadomo nam, jacy to byli strzelcy u Sasina, rozumiem, że ogniści, ponieważ już strzelba ognista dobrze była używana i Gedymin dziad Jagiełły pod Wieloną, czyli gdzie indziej od krzyżaków zginął“. Szajnocha zaś opisuje „działa“ i „puszki“ czyli „hakownice“, spoczywające na hakach przed żołnierzem, powiada jednak, że „liczba broni ręcznej palnej była nader szczupła“ i jeszcze o wiele później po Jagielle sprowadzano z innych krajów, jak Niemiec i Włoch, gdyż wyrób jej w Polsce, wedle ówczesnych głosów uskarżających się nań, był niedostatecznym. U bractw strzeleckich u nas musiała dopiero w połowie XV. wieku wejść w użycie.

W Warszawie na ratuszu umieszczony był kurek srebrny jako dar króla Zygmunta Augusta tamtejszemu bractwu. W Poznaniu otrzymuje bractwo strzeleckie znaczne przywileje od Magistratu miasta w r. 1537., a król Zygmunt August uwalnia w r. 1554. króla kurkowego od wszystkich podatków rządowych. W Włocławku miał król kurkowy oprócz zwykłych uwolnień od ceł, danin i podatków, jeszcze osobny przywilej pobierania bezpłatnie drzewa z lasów biskupich.

W dzisiejszych czasach ustało zupełnie strzelanie do kurka, pozostała tylko nazwa króla kurkowego wraz z dawnemi insigniami i zwyczajami. W bardzo wielu miastach już i ten obyczaj obierania króla kurkowego zniknął, ale pozostało jeszcze przy bractwach, gdzie takowe jeszcze istnieją, strzelanie do tarczy.

Z Zachodniej Galicyi.

(„Waidmannsheil“ 1884, tł. J. Ł.)

Rozczytując się w waszem pismie, uderza, iż spotyka się w niem myśliwskie wiadomości ze wszystkich części naszej monarchii, a o Galicyi prawie nie ma wzmianki. Mogłoby to dać powód do przypuszczenia, że u nas wcale szlachetny zawód łowiecki nie jest uprawiany. My także jesteśmy gorliwymi myśliwymi, jak to udowodnić będę się starał. Nie mam wprawdzie zamiaru, ani też mogę dać obraz stosunków myśliwskich całego kraju, a kto się o nich chce dowiedzieć, niech czyta nasze galicyjskie fachowe pismo „Łowiec“; — moja skromna gawęda obejmie tylko stan

myśliwstwa okolicy rzeki Wisłoki. Jak już nadmieniłem, i my też nie jesteśmy pogrążeni w śnie, przynajmniej nie zawsze, i my mamy krajowe Towarzystwo łowieckie, które przez swój umiejętnie redagowany organ „Łowiec“, jakoteż z pomocą mianowanych na każdy niemal powiat delegatów, usilnie się stara o podniesienie zwierzostanu; i u nas znajduje się liczne grono myśliwych, wytrawnych i fryców; i tu jest różnorodna broń wszelkich systemów i kalibrów z wszelkimi możliwymi przyborami, a pominąć też nie należy naszych psów, które najlepszy dają dowód, jak przez nieustanne krzyżowanie wszelkich istniejącyoh ras ostatecznie wyradza się zwierzę, które ledwo imieniem swem psa myśliwskiego przypomina; słowem cokolwiek się odnosi do łowiectwa, wszystko mamy, ale braknie najważniejszej rzeczy — zwierzyny, której liczba z każdym rokiem niestety się zniża. A stan ten niepomyślny sprowadziły nietylko od lat kilku trwające nieprzyjazne wpływy atmosferyczne, jak powszechne jest mniemanie, przeciwnie, główną tego przyczyną, z małymi wyjątkami, są sami właściciele polowania. Wprawdzie niechętnie przyjmie Sz. Redakcya „Łowca“ to moje twierdzenie, jeżeli ono dojdzie do jej wiadomości, i może nazwie mnie oszczercą, co jej jednak nie wezmę za złe, albowiem z licznych do „Łowca“ nadsyłanych korespondencyi musiała powziąć przekonanie, że się u nas zwierzostan z każdym dniem pomnaża. Wszakże pięknie to brzmi, gdy jeden z tych korespondentów pisze: „Przed niewielu jeszcze laty był zając u mnie dziwowiskiem, a gdy na urządzonem polowaniu ubito 5 lub 6 zajęty, to był bogaty rezultat. Pod przewodnictwem „Łowca“ wyrobiłem się z bezmyślnego strzelca na prawdziwego myśliwego, począłem zwierzynę ochraniać i hodować i oto okazał się skutek przedziwny. Po trzechletniem szanowaniu zwierzyny padły u mnie w jednym dniu 2 rogacze i 48 zajęcy“. A „Łowiec“ cieszy się i zasyła słowa zachęty, a nie wie, że niewinną przyczyną tej ojcowskiej opieki nad zwierzyną był zakład o dwie beczki wina węgierskiego, że na tem pomyślnem polowaniu z pomocą 20 strzelców i całej legii naganiaczów padł nawet ostatni z Mohikanów, i że jeden z ubitych kozłów był jakoś przypadkiem kozą. W ubiegłym roku nie odezwał się już hymn tryumfu tego pana, a jeżeli wskazówki nie omylą, to nowe trzy lata ubiegną, nim się on takiem powodzeniem będzie mógł poszczycić. Nie mniej pocieszająco brzmi doniesienie innego korespondenta, że u niego mimo nieprzyjaznego wpływu powietrza i epidemii, mimo lisów i kłusowników, ubito bardzo znaczną ilość zwierzyny czworonożnej i skrzydlatej różnego gatunku. A „Łowiec“ cieszy się znowu, bo nie wie o tem, o czem sąsiedzi doskonale wiedzą, że liczby ubitej zwierzyny są idealne, złożone jedynie dla uciechy czytelników „Łowca“, których prawdziwości nikt, a przynajmniej sprawozdawca stwierdzić nie może. Moglibyśmy więcej takich wypadków zacytować. Rozpatrzmy się bezstronnie w całym stanie rzeczy, a dostrzeżemy, że nie wszystko złoto co się świeci. Największa liczba tutejszych właścicieli polowania nie należy do rzędu myśliwych. Jeden jest zbyt zatrudniony, aby mógł się oddawać łowom, drugi nie ma silnych nóg, trzeci lęka się ich zamoczenia i kataru, jednemu brakuje tego, drugiemu owego, ale każdy z nich jest miłośnikiem zwierzyny — na półmisku. Ztąd wynika, że myśliwstwo jest powierzone sługom dworskim, kucharz, lokaj, kowal, gajowy mają obowiązek dostarczać zwierzynę dla kuchni wielmożnego lub jaśnie wielmożnego pana. Że takie polowania dają widok oburzający, że na nich bije się bezwzględnie wszystko, co się pojawi, zapewniać nie potrzeba; o przyszły stan zwierzyny zostawia się Panu Bogu staranie. Drugą niemniej wielką klęską jest, że nigdzie prawie nie tępi się zwierząt drapieżnych. Któż zresztą mógłby wymagać, aby źle płacony leśniczy, lub jeszcze gorzej płacony strażnik łowiecki, jeżeli gdzie taki istnieje, swój ciężko zarobiony grosz łożył na amunicyę, którą by tępił sroki i tym podobne drapieżniki. A trzeba wiedzieć, że gdzieindziej praktykowane premje strzałowe u nas nie są znane, natomiast właściciele polowań oddają strzelcom na własność skórki lisie. „Gdy się im odda skórkę lisią, to będą tem gorliwiej prześladować tego szkodnika“ — mówią oni. Istotnie nie da się zaprzeczyć, że tępione bywają starannie lisy, ale tylko w zimie, gdy skórka ich ma najwięcej ceny. W lecie, gdy lis jest najszkodliwszym, używa on zupełnej swobody, do czego się też w części przyczynia nasza ustawa łowiecka, która temu drapieżnikowi od 15. Lutego do końca Sierpnia zapewnia ochronę. Wszelka cześć dla prawa, gdy wszakże do dziś żadne prawo domyślne nie istnieje, to ja czasem cichaczem mniemam, że wcale nie byłoby zbrodnią bić każdego lisa, którego się spotka, nawet w porze ochrony, tem bardziej, że i u nas, jak w Norymberdze, złodzieja dopiero wtedy wieszają, gdy się da schwytać. Zresztą nie można zaprzeczyć, że niejeden myśliwy zawzięcie lisa prześladowałby, gdyby o tem nie myślał, że futro jego w zimie najcenniejsze. Ztąd wynika, że lisy bywają nie tępione, lecz starannie strzeżone. Z wielką ostrożnością przechodzi taki myśliwy na wiosnę około jam licznie zamieszkałych i oblicza w myśli zyski, które osiągnie, jeżeli mu się uda choćby tylko czwartą część tego swobodnie rozwijającego się lisiego pokolenia w zimie na rozkład dostarczyć. Jako illustracya niech służą następne wydarzenia. W pewnym dobrze mi znanym rewirze, który może być nazwanym eldoradem lisiem, zamieszkała śród pól w krzakach para lisia. Obfite szczątki młodych i starych zajęcy, jakoteż kuropatw i innych zwierząt świadczyły o morderczych rozbojach. W końcu za wiele tego było cierpliwemu właścicielowi obszaru łownego, wypowiedziano więc wojnę lisom wbrew porze ochrony, a dozorca stary gajowy, otrzymał rozkaz rozpocząć kampanię. Ponieważ pracujący w polu robotnicy twierdzili, że lisy przez cały niemal dzień przebywały w jamach lub przed niemi, postanowiono urządzić zasadzkę. Tak się też stało, gajowy nabił strzelbę i pełen ufności w powodzenie zasiadł na stanowisku. Po krótkiem wyczekiwaniu pojawiła się istotnie liszka z czworgiem młodych i rozpoczęły się przy jamach ucieszne hece. Gajowy podnosi strzelbę, mierzy cierpliwie i rozważnie, już pociąga za cyngiel, wtem uczuwa żal tkliwy, wszak młode lisięta tak miłe i kształtne zwierzątka, któżby mógł być tak okrutnym tak piękny obrazek rodzinny jednym strzałem zniweczyć. Powrócił więc gajowy wieczorem do domu, nazajutrz zasiadał znowu, wreszcie przez kilka dni, nawet przez wiele lat, zawsze z tem samem uczuciem politowania, i codzień radował się tem widowiskiem. Lecz na świecie wszystko przemija, więc i zasiadki gajowego zakończyły się. Nadszedł czas, w którym młodemu lisowi w ciemnej jamie było niedogodnie, wzrósł w odwagę i w poczucie własnych sił, pożegnał więc ustroń rodzinną, ruszył w świat, w bujnie już falujące zboża i odtąd rozpoczął samodzielnie zawód rozbójniczy. Pewnego pięknego dnia jamy były opuszczone, a z ustąpieniem lisów gajowy też ustąpił, a gdy w nastę-

pującej zimie udało mu się jakiego lisa ubić, to rad mawiał: Oto jeden z owych polnych lisów, jak dobrze się stało, żem go na wiosnę szanował, mam teraz futro, za które nie mało grosza dostanie się do mej kalety. Inny również gajowy i łowczy był jeszcze rozumniejszym i umiał łączyć przyjemne z pożytecznem. Przypadkiem wykrył jamy lisie, a przy nich zwykle szczątki zwierzęce. Te sprawiły w mózgownicy jego prawdziwą rewolucyę, dopuścił się bowiem tego, czego nigdy nie czynił, począł myśleć, i zgodnie z prawdą wymyślił, że skok zajęczy nie dostał się tu sam, lecz wraz z całością, której był cząstką, myślał następnie, że wszystko to stare lisy przywlekły i wywnioskował ztąd, że przecież byłoby możliwem, wracającemu z nocnej wycieczki mekicie zdobycz odebrać. Pod wpływem tych i tym podobnych myśli zjawił się nazajutrz znacznie przed brzaskiem dnia przy obiecujących jamach i ukrył się uzbrojony potężną pałką w pobliskim krzaku. Gdy wraz z światłem dziennym wracał stary lis z kaczką, którą jak się pźźniej wykazało, w sąsiednim młynie wbrew §. 460. ustawy karnej mimo wiedzy i woli młynarki sobie przywłaszczył, i nie zwietrzywszy wroga zbliżał się do swej ustronnej kryjówki, wypadł zdrajca jak opętaniec ze swego ukrycia i wrzaskiem piekielnym zmusił lisa do pozostawienia smacznego kąska i do ratowania swej godnej osoby w dalekim lesie. Los przeznaczył kaczce inny cel, zamiast do jamy lisiej dostała się ona do kuchni gajowego i stanowiła główne danie smacznego objadu. Nazajutrz powtórzył się ów manewr, gajowy zdobył w tenże sposób kapłona, co jednak zapewne lisowi bardzo się nie podobało, urządził się bowiem następnie tak, że z gajowym, któremu pieczone kasztany wydobywał z ognia, wcale się nie spotykał. Odtąd nie naruszano już spokoju lisów, młode rosły na pociechę łowczego, który tak rozumował: Gdy panowie będą w zimie polować, to muszą przecież do czego strzelać, zajęcy nie mamy, to niech się lisami ucieszą. — Wracając do poprzedniego przedmiotu muszę nadmienić, że coraz bardziej szerzące się tu trzebienie lasów, a nawet zupełne wyniszczenie ich, przyczynia się wielce do upadku zwierzostanu. Aby chudą kasę posycić, ucieka się właściciel ziemski do ostatecznego środka, sprzedaje jedną część lasu po drugiej, pozwala nawet w całym lesie buszować w celu wybrania i wyrąbania najpożyteczniejszych drzew. Koniecznym tego wynikiem jest, że zaniepokojona zwierzyna umyka i nigdy już nie wraca. Jeżeli śród tej rzeszy tępicieli polowania znajdzie się kruk biały, czyli gdy który z posiadaczy obszaru łownego ma istotnie zamiar w pewnym czasie szanować zwierzynę, a nawet ją racyonalnie hodować, to ma w tem więcej umartwienia, jak pociechy. Nasza zwierzyna ma szkaradny zwyczaj nie uwzględniać granicy, i zdarza się często, że kozioł lub zając, szanowany z rozmaitych powodów, nierzadko nawet pełna nadziei koza, nagle zniknie z rewiru. Pytając o przyczynę, dowiemy się, że nieszczęśliwe te zwierzęta nie zdołały się oprzeć pokusie zwidzenia sąsiednich łanów lub lasów, za którą zuchwałość odbierają też zasłużoną karę z ręki sąsiada, gorliwie strzegącego praw granicznych. Dzierżawcy polowania są jeszcze gorsi. U nich przeważa rachunek: czynsz dzierżawny wynosi tyle, amunicya, buty, przyjęcie gości tyle, ta kwota musi mi się przynajmniej wrócić, inaczej niech djabli wezmą całe polowanie. Zające i sarny bez uwzględnienia wieku i płci, muszą zwracać koszta tej uciechy. Tyle o polowaniu. Co do zwierzostanu mamy tu mało zajęcy i sarn, jeszcze mniej kuropatw, natomiast zaś, jak poprzedni wywód wykazuje, wiele lisów. Ja sam zabiłem w ostatniej porze łowieckiej 10 sztuk samych starych. Dzików przechodziło czasem, szczególnie w jesieni, w całej trzodzie po 20 i więcej sztuk. Stan powietrza był od lat kilku nader niepomyślny. Po ostrych zimach, srodze dolegających zwierzynie, następowały na wiosnę mrozy i śniegi z deszczami. Co z młodzieży nie wymarzło, wyginęło w wodzie. Tegoroczna wiosna nie wiele niestety pozostawiła nadziei polepszenia. Zima była niezwykle łagodną, w początku Marca widziano już młode zajączki. Nastąpiły silne przymrozki i trwały bez przerwy przez dni ośm. Po nich przyszły częste deszcze, a wreszcie pokryła ziemię kilkucalowa warstwa śniegu tak, iż się zdawało, że nie Zielone święta, lecz Boże Narodzenie się zbliża. Nie wiele z tego można się było spodziewać. Ptactwa błotnego i wodnego było w tym roku więcej, jak w poprzednich latach. Czy to ma być wskazówką mokrego roku? Ciąg słonek był mało znaczący i nieregularny z powodu kapryśnego powietrza. Nie zaniedbam w swoim czasie dalszych sprawozdań.

W połowie Kwietnia 1884.

Eust. Grün.

KORESPONDENCYE.

Dzikie gęsi. W krajowych dziennikach czytałem przepowiednię niemieckich Wetterpropheten wczesnej wiosny, której zwiastunami miały być gęsi dzikie, jawiące się na polach północnych Niemiec. Gęsi dzikie, nie odlatujące do cieplic na zimę, wytrwałe są na mrozy, bo chroni je dostatecznie gęste upierzenie. Jeżeli w jesieni opuszczają kraje zachodniej Europy, to czynią to z powodu braku żeru, którego na polach pokrytych śniegiem i na wodach i moczarach lodem ściętych znaleść nie mogą. Jakkolwiek odlot odbywa się tajemniczo w nocy, to jednak łatwo dostrzedz można, że gęsi i kaczki lecą zawsze na południe — ku Dunajowi, ku jego nigdy nie zamarzającym, płaskim i moczarowatym brzegom, długo i szeroko rozlegającym się tak po węgierskiej jak serbskiej i mołdo-wołoskiej czyli rumuńskiej stronie. Naocznie przekonałem się o tem widząc w Grudniu i Styczniu olbrzymie stada na moczarach naddunajskich w Węgrzech, a szczególnie w Banacie. Ciąg tych ptaków zawsze ku południowi spostrzegłem w Żółkiewskiem, Przemyskiem, Złoczowskiem, a najdokładniej w Sanockiem. Niejedną noc jesienną przesiedziałem na dworze w celu obserwacyi. Ileż to kluczy żórawi, ile stad dzikich gęsi i kaczek przeleciało nad moją głową w stronę bliskich Beskidów, które przebywszy zapadały na polach i wodach w celu wypoczynku i pożywienia się, a z nadejściem nocy ruszały w dalszą podróż. Nigdy w dzień owe stada nie przelatywały, czasem tylko pojawiały się małe stadka lub pojedyncze sztuki na Sanie, na polach lub górach nie porośniętych lasem, te zwykle zapadały w skutek znużenia, a najczęściej chore. Wieśniacy i ja łowiliśmy je rękami. Dzikie kaczki i gęsi Wołynia, Podola i Ukrainy lecą wraz z żórawiami, przepiórkami, bekasami, słonkami, gołębiami i innem ptactwem wędrownem ku ciepłemu

Krymowi lub na Kaukaz. Błotne i wodne ptactwo zapada na stały, kilkomiesięczny pobyt na limany przy morzu Czarnem lub Kaspijskiem, reszta wiedzie koczownicze życie śród lasów i pól. O żer nie trudno, klimat Krymu i południowego Kaukazu równy jest południowych Włoch. W r. 1859 wracając z Włoch zatrzymałem się kilka dni w Nabrzezinie, miasteczku leżącem przy odnodze morza Adryatyckiego, nie mając innego zajęcia polowałem w Styczniu na dzikie kaczki i gęsi, których liczne stada znajdowałem przy morskich moczarach we wsi Montefalcone. Według zapewnienia miejscowych ludzi, przebywają owe ptaki przez całą zimę na tych moczarach. Z wiosną niektóre odlatują, pewna zaś część pozostaje i lęgnie się. Laguny pod Wenecyą pełne są również w zimie dzikich gęsi i kaczek a nawet bekasów. Ptactwo wędrowne Europy w miarę klimatu okolicy dąży ku cieplicom lub pozostaje. Gęsi owe spostrzegane w północnych Niemczech nie przyleciały z nad brzegów Nilu lub śródziemnego morza, lecz były miejscowemi. Pomorze nadbałtyckie, mimo wysokiej kultury północnych Niemiec, z powodu swego płaskiego położenia dotąd nie osuszone. Milowe przestrzenie tych w zimie nie zamarzających moczarów pełne limanów z czystą wodą lub trzęsawisk, są przystanią wodnego ptactwa całych Niemiec, Szwecyi i Norwegii. Klimat owego kraju jest więcej dżdżysty i wilgotny, nigdy bardzo mroźny, więc zimowanie w nim ptaków, jak gęsi, kaczki, nury polarne, dostatnio upierzonych, jest możliwem. Żeru mają dosyć, bo na jeziorach i oparach błotnych mnóstwo ryb i piskorzów. Ku owej stronie dąży ptactwo całych Niemiec. Owe widziane gęsi zniewoliło zapewne tajenie śniegów do wędrówki po okolicy, ale w dalsze, rodzinne strony, pewnie się nie puściły. Wielokrotnie jeszcze śniegowe chmury zasępią promieniem wiosennym rozjaśniony błękit niebios, nim niemieckie a tem bardziej nasze gęsi i kaczki dzikie objawią na szeroko zalanych jeziorach i moczarach naszych tajemnicze swe przybycie. Gęsi dzikie nader ostrożne i przezorne. Nie złudzą ich przedwczesne tchnienia wiosny, wiedzą z doświadczenia, że:

Gąsce, kaczce po lodzie
Dobrze bieda dobodzie.

Naprzód idą na zwiady czajki, według gadki ludowej, gdy one nie wyprawiają złych wieści o śniegach i mrozach w stronach rodzinnych, dopiero wtedy gęsi bezpiecznie ruszają w podróż. I nie mają też powodu spieszyć się, gdy leże zimowe nader wygodne, a do wiosny jeszcze daleko. Po lęgu, w późnej jesieni, wszystkie w małżeńskim stosunku żyjące parki spieszą na punkt zborny, łącząc się w gromadę. Wraz z wyziębieniem miłosnych zapałów rozprzęgają się związki krótkotrwałych małżeństw, zaciera się różnica płci, cała skrzydlata rzesza, jednym przejęta duchem, przysposobianiem się do dalekiej wędrówki w gromadzie, pod wodzą starych, doświadczonych gęsiorów. One to lecą na czele łańcucha i sterują tym żywym okrętem, płynącym po bezmiernym oceanie powietrznym. Noc ciemna, mglista, często burzliwa, ani kompasem się nie kierują, ani patrzą na gwiazdy, a jednak lecą pewnym szlakiem i nigdy nie zbłądzą. Więc kierują się tylko instynktem, prądami wiatrów i doświadczeniem. Żórawie i gęsi ulatując z stron rodzinnych nucą pieśń pożegnalną, jak lud twierdzi, w istocie zaś ma owa pieśń inne znaczenie. Stado liczne śród ciemnej lub mgławej nocy mogłoby się rozerwać, rozprószyć, troskliwy o całość jego wódz głosem nawołuje, a rzesza odpowiada mu. Miły to i rzewny śpiew, smutnie nastrajający duszę słuchacza przeczuciem burz jesiennych i zimowych, toż lud ruski smutne opowiada i śpiewa baśnie o „żórawlach“. Damy tu jedną z nich. Pewien król miał przecudnej urody córkę, sława jej wdzięków tak była głośną, że nawet z dalekich stron królewicze i książęta przyjeżdżali na dwór jej ojca w celu starania się o rękę nadobnej królewny. Ale żaden z nich nie przypadł dziewicy do serca, nikt nie umiał podać przyczyny tej obojętności dla urodziwych i dostojnych zalotników. Wreszcie doniósł ktoś królowi ojcu, że giermek królewski posiadł serce córki jego. Zawrzał król srogim gniewem, ostatecznie giermka sromotnie wypędzono, królewnę zaś osadzono w ciasnej izdebce wysokiej wieży. Włóczył się rozżalony giermek po górach i lasach przez czas długi, wreszcie zetknął się z czarownicą starą, która wskazała mu sposób wykradzenia kochanki. „Wieża wysoka — rzecze — ptak chyba doleci do więzienia królewny, więc stań się ptakiem, oto masz flaszeczkę pełną cudownego napoju, jedna jego połowa przemieni cię w ptaka, druga przywróci ci postać ludzką. Uradowany giermek co tchu podążył ku wieży, wnet zamienił się w ptaka i rozwinąwszy skrzydła uleciał ku szczytowi wieży, gdzie właśnie stała w oknie królewna, w smutnem pogrążona dumaniu. O dziwo! ptak przemówił do niej ludzkim głosem. Któż zdoła opisać radość wzajemną, ubiegały wszakże chwile miłośnych zachwytów, trzeba było się rozstać, trudno im się było od siebie oderwać, wreszcie giermek błaga ukochaną, by resztę wypiła płynu, który w dziobie przyniósł. Wypiła królewna, z okna wyleciała para ptaków, okrążyła zamek królewski, żałośną zanuciła pieśń na pożegnanie i znikła w dalekim błękicie. Tak według owej gadki powstały żórawie. Samcy mają wierzch głowy czerwony, bo giermek przemieniwszy się w ptaka nie zrzucił swej czapki. I nutą też to żałośną, to weselszą opiewa lud owe ptaki. Gdy usłyszy spiew odlatujących żórawi, wtoruje im smętnie:

Wże łetiat żurawelki, hen, hen, pid chmaramy,
I wam żal nas pokidaty, i nam żal za wamy.
Ne spiwajte oj tak rewno, aż serdce styskaje,
Bo nam oczy, szczo was hladiat, śloza załywaje,
Oj mus! oj mus! — widpowyły — z hory prykaz takij!
Szczasływaż wam dorożeńka, pidnebny spiwaky!

Weselej brzmią pieśni powitalne, młody rusin zowie żórawia wesełykiem, a on mu na to odpowiada: Bodajś ciłyj rik weseływsia, albo żurywsia.

Widczyniajte woroteńka, łetiat wesełyki,
Wże czuty jak zdałeka hrajut ich muzyki.
Zajdit, zajdit miłyi ptachy do nas na hostynu,
Stoit z medom horiłońka na tuju pryczynu.

Gospodarze mawiają ujrzawszy wracające żórawie:

Powernułyś żurawelki,
Sijże babo konopelki.

I gęsi dzikie uczcił lud długą i rzewną pieśnią, której niestety tylko treść pamiętam. Krasawica jakaś, której „myłyj“ gdzieś daleko pojechał na wojnę, tęskniąc za nim prosi lecące stado dzikich gęsi, żeby ją na skrzydłach uniosły do kochanka powtarzając po każdej zwrotce:

Woźmit mnia na kryła,
Oj! bom zatużyła!

Ale wracam do gęsi, mianowicie niemieckich. Pojawienie się ich w północnych, przybałtyckich Niemczech, wcale nie jest zapowiedzią wczesnej wiosny. W naszym, co do klimatu nie bardzo szczęśliwym, podkarpackim kraju, wiosny najczęściej są spóźnione i pełne kaprysów. Opieram to twierdzenie na długoletniem doświadczeniu. Pamiętną jest zima z r. 1843, w Grudniu przechadzano się po Lwowie w letniem ubraniu. W Lutym poczęły się drzewa rozwijać, z końcem Marca bzy

zakwitły, jare zasiewy powschodziły. W połowie Kwietnia spadł duży śnieg, a mróz zwarzył kwiaty i liście. Śnieg leżał do połowy Maja, urodzajom to nie zaszkodziło, były obfite, owoców nie było, drzewa po raz wtóry się rozwijały. R. 1872 mieszkałem w górach Samborskich. Śniegu wcale nie było, dnia 12. Grudnia kazałem orać czyli raczej hakować, siew jary rozpocząłem w Lutym, skończyłem w końcu Marca, w Kwietniu zakwitły sady. 20 Kwietnia począł sypać śnieg, w trzech dniach zasypał nas, mróz chwycił kilkustopniowy, kwitnące drzewa wyglądały jakby polane wrzątkiem. Taki stan powietrza trwał do 6. maja. Stąd wynikło, że urodzaje były najgorsze. Takie to niespodzianki sprawiają nam lekkie zimy i wczesne wiosny. Któż o tem nie wie, jak zwodniczem jest przybycie niektórych ptaków i owych mniemanych zwiastunów wiosny — bocianów? Ileż to razy zasypały ich śniegi! W roku jeśli dobrze pamiętam 1851 zginęły już śniegi na św. Józefa i pojawiło się duże stado bocianów na łąkach Kamienopola. W nocy tegoż dnia zerwała się śnieżyca trwająca 24 godzin. Żal mi było biednych bocianów, gdym ich widział zbitych w gromadę z smutnie spuszczonemi głowami w lesie. Głód im srogi dokuczał, kazałem padlinę pokrajać i podrzuciłem ją. Na żer rzuciły się chciwie i nie odstraszała ich obecność ludzi. Tak żywiłem ich przez trzy dni. Jakkolwiek śnieg stajał, żeru nie było, bo żaby powtórnie ułożyły się do snu na dnie rzeki Pełtwi i w głębszych kałużach. Na szczęście bocianów rozbierano wtedy stertę owsianą na gumnie, w której myszy obrały sobie główną kwaterę. Za każdym snopem wypadało ich kilkanaście. Tłukliśmy je setkami. Śród tej morderczej czynności naszej, pojawia się bocian, za nim kilka, wreszcie całe stado. Proszę sobie wyobrazić, jaka była gonitwa za uciekającemi myszami. Ledwie która wymknie, wpada na nią w zabawnych podskokach bocian, i jak czapla rybę podrzuciwszy nieco w górę połyka. Młocarni wtedy nie miałem, codzień rano zmłockom sadzono kopy, już na nich czekały bociany i skrzętnie łowiły myszy. Jak bocianom, tak też słonkom, bekasom, czajkom i innym ptakom zdarzy się omylić w przewidywaniu wiosny, zwłaszcza w naszym podkarpackim kraju, wystawionym na wszystkie wiatry, prócz południowego, a stąd narażonym na śnieżne zawieruchy nawet w Kwietniu. Dwa tylko ptaki nigdy się w tym względzie nie omylą, mianowicie żółta pliszka i zięba. Gdy pierwsza się zjawi, a druga zakwili na szczycie bezlistnego jeszcze drzewa, to już wiosna pewna bez przygód śniegowych i mroźnych, choćby to nawet było w Marcu. Bez tych oznak nie wierzę w wiosnę, choćby ją zapowiadali domorośli znachory i wszyscy niemieccy Wetterpropheten.

G.

KRONIKA.

Śniatyn, Lipiec.

Wyczytawszy w jednej gazecie niemieckiej o nowej konstrukcyi nabojów lankastrowych, sprowadziłem je, a przekonawszy się o ich dobroci i praktyczności, posyłam kilka sztuk Redakcyi „Łowca“, aby każdy, kto się tem interesuje, mógł je widzieć i przekonać się o ich dobroci niezrównanej. Patrony te niedawno zaczęto wyrabiać w Lignicy i nie są jeszcze znane, a dopiero na moje polecenie zaczęto wyrabiać kal. 12, bo dotąd tylko kal. 16 wyrabiano. Rusznikarza w Lignicy p. Bartscha przekonał pewien praktyczny myśliwy, że system Lankaster z powodu dotychczasowego systemu zapałowego, według którego promień eksplodującego kapsla, przeprowadzony cienką rurką do prochu, spowodował nienormalne i niedorazowe spalenie prochu w naboju, a proch dopalał się jeszcze wtenczas, gdy warstwa dolna już eksplodowała i nabój w lufie pierwszą eksplozyą był już z miejsca ruszony. Następstwo tego niedorazowego spalenia się całego ładunku prochu było takie, że zwierzyna trafiona z dymem nie padła, chyba bardzo rzadko, i to tylko wtenczas, gdy części żywotne, jak płuca lub serce były naruszone. Uważałem to głównie przy systemie Lankastra, i dlatego system ten zresztą tak praktyczny i dogodny, miał jeden błąd, który Niemcy nazywają: „das Gewehr hat einen schlechten Brand“. Najwyżej stały pod tym względem systemy iglicowe z powodu szerokiego kapsla i zapalania się prochu u góry, przez co dorazowa następuje eksplozya, a każda zwierzyna trafiona na połeć pada z dymem i nie męczy się wcale. Nowe patrony tak zwane Brandpatronen usuwają ten wielki błąd zupełnie, z powodu systemu zapału, w którym płomień szerokiej kapsli, prowadzony rurką mosiężną przez sam środek prochu, zapala go u góry za pomocą dziurek małych w okrąg rurki prowadzonych. Spalenie prochu dorazowe jest tak świetne, a rezultat zadowalający, iż jestem przekonany z góry o rozpowszechnieniu się tych nabojów na czas zimowego polowania. Nabojów tych kosztuje setka 8 marek, każdy nabój daje się cztery razy rekonstruować, zresztą rurki są nie do zniszczenia i dają się wkładać, jak to ja już robię, do patronów metalowych, trzeba tylko kazać sobie zrobić świder (Bohrer), którymby gniazdko na tę rurkę wydrylować można, co bardzo łatwo się robi. Rurka sama da się wypychać patyczkiem ze środka bardzo łatwo i można ją wkładać do innego patrona. Dodaję uwagę, że w metalowych patronach, w których dno i ściany są cienkie, zwykły mały nabój prochu jest za mały, nie przykrywa bowiem wystającej rurki dostatecznie, więc należy dać wiele więcej prochu tak, aby z prochu dobrze ugniecionego nie wystawała. Większa ilość prochu niech nikogo nie żenuje, rezultat bowiem jest świetny, a eksplozya całości dorazowa, o co głównie chodzi. Na ptactwo drobne dostateczne są dawne naboje, w których mała ilość prochu dobrze się spala, tych zaś, o których mówiłem, używa się w zimie na zające, lisy i grubszą zwierzynę.

Maksymilian Morawski.

Borek-Brzeźnicki 19. Sierpnia.

Bardzo żałuję, iż sz. p. T. dotąd nie przejął się przekonaniem, iż czasopismo „Łowiec“ nie jest polem popisu szykan, nie ma na celu żartować sobie z członków Towarzystwa łowieckiego, lecz jako organ wyższych dążeń, których p. T. zapewne nie pojmuje, widzi w każdym członku przyjaciela, któremu daje lub też od niego przyjmuje pożyteczne wskazówki. Niech więc sz. p. T. pozwoli sobie powiedzieć, że swemi korespondencyami nie osiągnął wcale zamierzonego celu, stawia bowiem niepotrzebnie swoją złośliwość pod pręgierz publiczny i wikła się w swoich argumentacyach tak, iż obie jego korespondencye, dotyczące polowania w państwie Dębickiem, grzeszą jawną sprzecznością i bez pożytku zajmują w Kronice „Łowca“ miejsce.

Błażyński.

Czerwiec strumieniami deszczu wywołał straszliwą katastrofę. Nietylko Wisła wystąpiła z swych brzegów i zalała pola, wsie i miasta, każdy potok, każda rzeczka w rozszalałym pędzie wyszła z swego koryta. Tysiące ryb wypędziły wzburzone fale na pola i łąki, znajdowano je nawet w domach wodą zalanych. Szkoda, jakiej rybołowstwo doznaje, jest niezmierną. Trudy i koszta wielu lat poszły na marne. Śród rybaków i miłośników rybołowstwa ogromne przerażenie.

Waidmannsheil Nr. 14. 1884.

Mapa rybna. Według wiadomości podanej w „Mittheilungen des oesterr. Fisch.-Ver.“ Nr. 13, str. 60, mapa rybna Galicyi dr. M. Nowickiego, zeszłego roku na wystawie rybackiej w Londynie medalem srebrnym i dyplomem honorowym odznaczona, wywołała u zwiedzających wystawę znawców zawodowych życzenie, ażeby na jej wzór mapy rybne nietylko dla reszty krajów koronnych monarchii austryackiej, lecz dla krajów całej Europy, mogły być co rychlej wydane. Komisya rybacka Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki, będącą rządową władzą rybacką na całej ziemi najdoskonalszą, najsprężystszą i najbogatszą, zamyśla do zamierzonego geograficzno-rybnego przedstawienia olbrzymiego swego terenu wziąć za podstawę tę mapę rybną dr. Nowickiego.

Ruchoma przepławka rybna. Model tej przepławki na Popradzie użytej, którą dr. Nowicki w „Gazecie rolniczej“ w Nr. 17. opisał, ofiarowało Towarzystwo rybackie Ministerym rolnictwa w Berlinie. Minister dr. Lucius podziękował za takowy i oznajmił, że model przekazał tamtejszej akademii rolniczej i że zarządził próby z tą przepławką na jazach, znajdujących się na rzekach Muldzie, Saali i Ederze. Więc w Niemczech rząd korzysta z niej i stara się o stawianie przepławek celem rozmnożenia łososia i podniesienia jego połowu. Oby i u nas podobnie postępowano.

Postępowy chów karpia, przez Tomasza Dubischa zaprowadzony („Tyg. roln.“ Nr. 26—28), zaczyna nabierać coraz szerszego rozgłosu. Tak rząd pruski, dbały o niemieckie rybactwo, zapytał p. A. Gascha z Kaniowa, czyby nie zadzierżawił fiskalnych jezior w Szczecińskiem i nie podjął się przy pomocy zasiłku skarbowego chowu karpia; w skutek tego p. Gasch wyjechał nad pomienione jeziora celem uprzedniego rozpatrzenia się na miejscu, czy one nadają się do gospodarstwa karpiowego. Następnie zarząd dóbr hr. Branickiego w Białejcerkwi powołał p. Burdę z Bielska do objęcia administracyi tamtejszych olbrzymich stawów, albo też wydzierżawienia ich na rzecz swoją. Oby za tym przykładem poszli także właściciele opola stawowego w Galicyi i swe dzikie gospodarstwa rybne zamienili, o ile to możebne, na racyonalne, ku podniesieniu swych dochodów, od których przybytku głowa nikogo nie będzie bolała.

W wiecu rybackim w Wiedniu („Czas“ Nr. 122) wezmą udział delegowani z Austro-Węgier, Rossyi i Niemiec. Z Galicyi będą w nim uczestniczyli jako wysłannicy Towarzystwa rybackiego i obu Towarzystw rolniczych we Lwowie i w Krakowie profesor dr. Nowicki z Krakowa, p. Aleksander Gostkowski z Tomic i p. Adolf Gasch z Kaniowa, a spodziewać się jeszcze należy, że także nasza sejmowa komisya gospodarstwa krajowego wiec obeszle. Wypracowanie referatu o stosunkach rybackich nad granicznemi rzekami, oraz wniosków uwzględniających potrzeby rybactwa krajowego, poruczono prof. dr. Nowickiemu. Twardy to orzech do zgryzienia, gdyż graniczne stosunki rybackie nie są jeszcze nigdzie opisane, znikąd też o nich dowiedzieć się nie można, a nadto referat prócz Galicyi musi mieć na względzie 6 innych krajów, przez które nasze rzeki dalej płyną, mianowicie: Rumunię, Bukowinę, Rossyę, Węgry, Niemcy i Szląsk, z których to krajów jedne mają ustawy rybackie z sobą niezgodne, zaś inne żadnej jeszcze nie posiadają. Aby się więc z tego zadania według możności wywiązać, musi prof. Nowicki sam objechać wzdłuż granic: Białkę, Wisłę, Dunajec z Popradem, Styr, Zbrucz, Dniestr między Okopami i Zaleszczykami, wreszcie Prut i Czeremosz, przytem poznać złe strony rybołowstwa po obcych brzegach tych wód i zasięgnąć zdania miejscowych władz oraz innych znawców co do środków, jakie ku podniesieniu rybactwa byłyby wskazane i mają być na kongresie w Wiedniu zalecone, aby kongres takowe uchwalił i rządom trzech państw ościennych: Austro-Węgier, Rossyi i Niemiec, do wspólnego i jednolitego wprowadzenia w życie przedłożył, jak to uczynił zeszłoroczny kongres w Dreznie z przyjętymi przezeń wnioskami, które rozmnożenia łososia w dorzeczu Wisły dotyczyły. Odbycie tej podróży ułatatwił hr. Artur Potocki ofiarowaniem funduszu, zaś dyrekcye kolei Karola Ludwika i kolei Lwowsko-Czerniowieckiej udzieleniem kart wolnej jazdy. Krajowa komenda żandarmeryi poleciła posterunkom żandarmeryi nad wodami granicznemi, aby dochodzenia rybackie profesora Nowickiego skutecznie poparły; toż Starostwo w Zaleszczykach oznajmiło, iż je z wszelką gotowością ułatwi. Dzięki im wszystkim za okazaną tem ponownie życzliwość dla sprawy rybackiej!

W sprawie ustawy rybackiej krajowa komenda żandarmeryi we Lwowie udzieliła Towarzystwu rybackiemu szereg nader cennych wskazówek pod względem trudności, jakie w praktyce nastręcza przestrzeganie postanowień tej ustawy, oraz rozporządzenia wykonawczego do niej i którym dlatego koniecznie zaradzić potrzeba. Tak pouczanie żandarmów w szkole o treści ustawy i rozporządzenia tylko teoretyczne, a nie poparte praktycznie objaśniającymi okazami, nie może przynieść trwałego pożytku. Komenda objeżdżając od czasu do czasu posterunki, przekonała się, że żandarmi ustaw i rozporządzeń nie rozumieją tak jak należy, a to z powodu, że przytoczone w nich nazwy techniczne są im całkiem obce. Żandarm przyswoił sobie wprawdzie nazwy, ale nie zna samych gatunków ryb w ochronę wziętych, więc też nie może przeszkodzić ich połowowi, sprzedaży i podawaniu w domach gościnnych, tem mniej, że te ryby według okolic inaczej się nazywają, a rybakom nie trzymającym się ustawy zależy na tem, aby żandarma w błąd wprowadzić i tym sposobem ujść kary zasłużonej. Dalej żandarm nie wie, które gatunki z tych ryb znajdują się w wodach rajon posterunku żandarmeryi przepływających i tegoż nadzorowi poruczonych. Podobnie wzbronione sposoby połowu ryb i przyrządy rybackie, oznaczone nazwami technicznemi, są nawet dla rybaka niezrozumiałe, nadto tak rozmaite, że nieobeznany z niemi mniema, jakoby tylko sieciami i wędką rybować wolno było; dlatego należałoby wyszczególnić także dozwolone sposoby połowu i przyrządy. Ustęp a) art. IV. rozporządzenia zdaje się wzbraniać nietylko zamykania rybom przystępu do tarlisk, lecz także w ogólności zastawiania wód wszelkiemi przestawkami. Ustęp 2. art. II. podaje tylko same części rzek, w których łowienie ryb jest w ogóle wzbronione od 1. Kwietnia do 30. Maja, wątpliwem zatem jest, czy temu zakazowi podlegają także dopływy lub też są wykluczone; w ustępie 1. są dopływy osobno wyszczególnione. Ustawa wspomina o uprawnionych do rybołowstwa, ale kto oni są, tego nie wiedzieć; niektóre gminy i dwory wydzierżawiają rybołowstwo na wodach bieżących, lubo krajowe ustawy i rozporządzenia nie wykazują do tego podstawy. Rybołowstwo jest w ogólności wolne w Galicyi; znać więc wyjątki byłyby pożądanymi, ale o tych nawet u Starostw nic pewnego dowiedzieć się nie można. Tak §. 12. ustawy jak artykuł V. rozporządzenia stanowią, że ryb niedorosłych nie wolno sprzedawać i w domach gościnnych podawać. Z tego brzmienia wynikałoby, że połów tych ryb i konsum w domu jest dozwolony, gdy tymczasem instrukcyjny okólnik Namiestnictwa do Starostw orzeka, że każdy, kto złowi rybę nie mającą długości przepisanej, powinien ją zaraz wpuścić napowrót do wody z należytą ostrożnością; wątpliwość stąd powstałą komenda przedstawiła wyższej władzy, ale nie otrzymała jeszcze odpowiedzi objaśniającej. Naczelnicy gmin i obszarów dworskich są ustawy rybackiej jeszcze mniej świadomi, niż żandarmi. Dlatego bardzoby się przydało, aby kto tę ustawę wraz z rozporządzeniem objaśnił w sposób przystępny i do pojęcia włościan zastosowany, gdyż w teraźniejszej formie są one li tylko dla światłych ludzi zrozumiałe, a nigdy nie wnikną w te sfery, dla których są właściwie przeznaczone. Cel ustawy nie jest nawet naczelnikowi gminy wiadomy, mniema on bowiem, że ją na to wydano, aby w swoim czasie rybołowstwo obłożyć podatkiem. Wreszcie według doświadczenia komendy żandarmeryi ustawa wzbudziła zajęcie tylko tam, gdzie władze polityczne z własnej pobudki działają, a jest i będzie nieznaną w miejscowościach, w których ją tylko ku wykonywaniu ogłoszono. Towarzystwo rybackie nie będąc powołanem do komentowania przepisów i nie mając funduszu na wydanie tablicy z rybami i przyrządami rybołowczymi, ani też książeczki objaśniającej ustawę wraz z rozporządzeniem, czego komenda słusznie żąda, przedłożyło jej odezwę Namiestnictwu do uwzględnienia, a w odpisie także Wydziałowi krajowemu z prośbą, aby sejmowa komisya gospodarstwa krajowego, jako naturalna opiekunka tego gospodarstwa, do którego także rybactwo należy, przyczyniła się do ziszczenia uzasadnionych życzeń komendy żandarmeryi, która niezrażona doznawanemi przeciwnościami, przestrzega z całą gorliwością i życzliwością wykonywania krajowych ustaw i rozporządzeń. Z swej strony Towarzystwo rybackie mogło komendzie tylko tem usłużyć, że celem ułatwienia nauki żandarmom udzieliło jej kilku wzorów sieci zakazanych i 9 gatunków ryb ochronie podlegających, które ona z podziękowaniem przyjęła.

Upraszamy wszystkie krajowe Towarzystwa myśliwskie, jakoteż Towarzystwo rybackie w Krakowie, o rychłe podanie zmian, dotyczących ich organizacyi i zakresu działania, jakie w „Kalendarzu myśliwskim Łowca“ w roku następnym mieć pragną.

Przypominamy sz. członkom Towarzystwa łowieckiego, iż wkładkę roczną należy złożyć najpóźniej z końcem Marca.

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Bartsch'sche Brand-Patrone

für Centralfeuergewehre

zum schnellen Verenden des Wildes im Feuer.

Packete zu 100 Stück, feinste, gasdichte Patrone, Caliber 16 für 8 Mark, Caliber 12 für 9 Mark, mit messingenem Zündkegel, sowie eine besonders dazu construirte Zündhütchen-Zange für abgeschossene Patronen, versendet gegen baar oder Nachnahme

Büchsenmacher A. Bartsch, Liegnitz in Schlesien.

Diese Patrone wird dadurch zu einer billigen Patrone, weil sie vielmal zu schiessen ist. Die Illustrirte Jagd-Zeitung in Leipzig bringt in Nr. 18 folgenden Artikel über diese neue Brand-Patrone:

Etwas über den sogenannten Brand der Schrot-Gewehre.

Von der schätzenswerthen Eigenschaft eines Jagdgewehrs, Brand zu haben, das heisst, das getroffene Wild, wie vom Blitz erschlagen, im Feuer verenden zu machen, wollen die meisten Gewehrfabrikanten wenig wissen, die erfahrenen Jäger aber desto mehr.

Erstere behaupten, man möge nur richtig zielen und die passende Ladung aus ihren Gewehren schiessen, so würde das Wild schon im Feuer verenden; dies trifft auch zu, wenn edle Theile, wie Herz, Lunge, Gehirn etc. getroffen werden, was vielfach vorkommt, da die neuen, feinen Jagdgewehre gut liegen, die Entzündung bei ihnen schnell ist, die Schrote zusammen halten und tief einschlagen machen. Aber es kommt doch auch oft vor, dass beim Blattschuss nicht immer solche Theile, deren Verletzung tödtlich ist, getroffen werden — dann ist ein grosser Unterschied in der Wirkung der verschiedenen Jagdgewehre, da zeigt es sich, ob das Gewehr Brand hat oder nicht, wie ich dieses unzählige male seit 30 Jahren mit den verschiedensten Gewehren erprobt habe.

Wenn das Material der Läufe gleich gut war, so stellte sich heraus, dass das alte Zündnadelgewehr, wo die Zündnadel durch das Pulver hindurchstach und die Entzündung der Pulvermasse von oben herab geschah, den schärfsten Brand unter allen Schrotgewehren hervorbrachte. Dann kam das Lefaucheux-Gewehr und das neuere Zündnadelgewehr, und diesen beiden gleich stand der Vorderlader.

Den schlechtesten Brand unter allen mir bekannt gewordenen Gewehrsystemen hat nach meinen Erfahrungen das Centralfeuergewehr auch Lancaster genannt; bei diesem System ist die Entzündung des Pulvers für einen Schrotschuss die ungünstigste, wie dies weiterhin noch erörtert werden soll. Dies ist um so mehr zu bedauern, als dies letztere System am bequemsten für den Jäger ist und man auch mit dem Centralfeuergewehr am besten trifft, da man wenig vorzuhalten braucht, um einen guten Blattschuss anzubringen, auch durch die eigenartige Bohrung der Läufe bei vielen Gewehren dieses Systems die Schrote in grosser Entfernung noch gut zusammenhalten — daher durch sie aber auch viel Wild zu Holze geschossen und grosse Thierquälerei ausgeübt wird, denn ein auf 100 Schritt damit beschossener Hase, wenn er auch anscheinend gesund weiter geht, hat meist schwere Verletzungen bekommen, die unter die Rubrik „Thierquälerei" zu setzen sind; wenn auch der unerfahrene Schütze sich damit tröstet, er hätte gefehlt und beim nächsten Hasen wieder auf solch' unerlaubte Entfernung Feuer gibt, weil er zuweilen seinen Zweck doch erreicht und darin in der irrigen Ansicht bestärkt wird, wenn er nur richtig ziele, müsse der Hase auf 80—100 Schritt mit seinem guten Centralfeuergewehr erlegt werden, und wenn dieses nicht geschehe, hätte nur an seinem schlechten Abkommen gelegen und dem Wilde wäre nichts geschehen. Mit einem Gewehre, das schlechten Brand hat, kann man auch beim besten Abkommen auf 50 Schritt dem Hasen Schrot in den Körper jagen und ihn weiter gehen sehen, wie dies mancher Jagdcollege mit seinem Centralfeuergewehr oftmals erfahren haben wird, da der Erfolg des Schusses bei diesem System verschiedenartiger ausfällt, als bei den Lefaucheux-Zündnadel-Gewehren.

Es liesse sich darüber streiten, ob die Qualität der Läufe oder die Art und Weise der Entzündung des Pulvers von grösserem Einfluss ist, einen guten Brand beim Schrotschuss hervorzubringen. Meine seit längerer Zeit darüber gesammelten Erfahrungen sind folgende: Da ich auf meinen Gütern viel Holzjagd habe und ich die Jagd gern ohne Hund ausübe, so lag mir stets daran nur ein Gewehr zu führen, das vorzüglichen Brand hatte. Seit 18 Jahren hatte ich ein solches Jagdgewehr (Lefaucheux), das alle Gewehre, die ich je geführt habe oder Andere habe führen sehen, im Brande übertraf; es hatte sehr weiche Blumen-Damastläufe, auf welchen schon ein starker Stoss Beulen machte, aber alles damit beschossene Wild fiel wie vom Blitz erschlagen; Hühner lagen dort, wo sie hinfielen, selten brauchte ich einen zweiten Schuss auf Hasen abzugeben, jeder Hase blieb trocken, ein sicheres Zeichen des guten Brandes, denn wenn der Hase stark mit Schweiss besudelt ist, kann man schliessen, das Gewehr hat keinen guten Brand, wenn auch die Schrote tief einschlagen; durch das Austreten von Schweiss verendet das Wild schwer. Es war ein Vergnügen mit diesem Gewehr zu jagen, jede Thierquälerei konnte ausgeschlossen sein, wenn man sich mässigte und nur jagdgerecht schoss. Dieses Gewehr hatte beim ersten Schusse. den ich daraus vor 18 Jahren machte, denselben scharfen Brand wie später; ich hatte vorher sehr viele Gewehre durchprobirt, bis ich auf dieses Gewehr traf, dessen Brand mich sofort in Erstaunen setzte. Unbestritten waren die weichen elastischen Damastläufe und das System Lefaucheux die Ursache davon. Leider zerriss mir dieses prächtige Gewehr durch ein eigenthümliches Missgeschick. Es waren beim Füllen der Patronen anstatt Caliber 16, Deckblättchen zu Caliber 20 oben auf die Schroten genommen und mit der Maschine demnach die Patrone eingekrempt worden. Beim Abgeben eines Schusses hörte ich, wie durch die Erschütterung die Schroten im andern Lauf vorrollten und fand das Deckblättchen bis in die Mitte des Laufes vorgeschoben; ich nahm mir vor nur mit einem Lauf zu schiessen, vergass es aber am Ende der Treibjagd doch einmal, lud beide Läufe und gab zwei Schüsse hintereinder ab. Beim zweiten Schuss zerriss der Lauf von der Mitte ab bis oben hin; ich bemerkte das Unglück erst, als ich das Gewehr absetzte, doch bewährte sich auch hierbei das feine Material des Laufes, kein Stückchen davon war abgesprengt worden, nur auseinandergerissen war der Lauf.

Da mir dieses Gewehr so gute Erfolge gebracht hatte, beschloss ich, keine Kosten zu scheuen, mir ein ebensolches Gewehr wieder anzuschaffen und ging nach solchem auf die Suche. In Liegnitz fand ich bei dem durch seine guten und auch patentirten Gewehre (Selbstspanner ohne Hähne) wohlrenommirten Büchsenmacher Herrn Bartsch ein Gewehr mit ähnlichen Damastläufen. Die Läufe waren Crolé-Damast aus Paris bezogen; es war sein theuerstes und bestes Gewehr, was er oftmals ausgestellt hatte. Wir wurden einig, dass ich ihm den hohen Preis. den dieses Gewehr hatte, zahlen wollte, wenn es guten Brand hätte, wenn nicht, so nehme er es zurück. Da die meisten Büchsenmacher nicht an Brand glauben, ging er gern darauf ein. Das Gewehr war ein Centralfeuergewehr neue-

ster Art, schoss prachtvoll auf Scheibe, noch auf 100 Schritt viele Schrote in einen Bogen Papier eng zusammen, so dass man annehmen konnte, jeder Hase müsste sicher auf 60 Schritt im Feuer verenden, dabei schlugen die Schrote sehr tief in's Holz ein.

Es wurden nun 10 Hasen im Laufe einiger Tage geschossen, stets auf 50 bis 60 Schritt und immer aufs Blatt. Jeder Hase brach sofort zusammen, aber nur zwei, die durchs Herz und Lunge geschossen waren, verendeten ohne Zucken, die andern brauchten entweder noch einen Schuss oder einen Schlag hinter die Löffel; obgleich bei der Revision constatirt wurde, dass Alle einen richtigen Blattschuss hatten, so waren doch nur zwei ohne Zucken verendet, einer lag nach erhaltenem Blattschuss sogar betäubt eine Weile da, machte sich wieder in die Höhe und musste vom Hunde erst eingeholt werden. Alle Hasen waren mit Schweiss stark besudelt, nicht einer blieb trocken, die Schusswunden waren offen und mehrere Hasen klagten; so etwas war mir mit meinem alten Lefaucheuxgewehre doch nie vorgekommen. Es wurden darauf Kaninchen geschossen, mehrere gingen krank zu Baue, wenige blieben im Feuer liegen, nicht eins war verendet ohne Zuckungen, wie bei meinem alten Lefaucheuxgewehr. Es war bewiesen, das Gewehr schoss brillant, man traf damit ausgezeichnet, aber trotz der weichen elastischen Läufe hatte es nicht den genügenden Brand, wie ich ihn gewöhnt war. Auf die Einrede des Büchsenmachers, das Gewehr wäre noch zu neu und würde in Jahr und Tag schon guten Brand haben, gab ich desshalb nichts, weil mein Lefaucheuxgewehr sofort als neues Gewehr beim ersten Schusse den brillanten Brand hatte, der es immer auszeichnete, wie auch Andere gefunden hatten, dass ein Gewehr mit gutem Brand beim ersten Schusse ihn schon anzeigt.

Es ging nun an ein weiteres Durchprobiren der besten Centralfeuergewehre, die ich auffinden konnte, und wurden im Laufe von einigen Monaten 12 Gewehre dieses Systems auf Kaninchen und Hasen auf ihre Brandfähigkeit genau erprobt und die Resultate verzeichnet. Die Erfolge waren dieselben, trotz Blattschüssen aus normaler Entfernung unsichere Resultate in Bezug auf Verenden des Wildes. Je besser und weicher die Läufe waren, je mehr näherte sich der Schusserfolg dem des Lefaucheuxgewehres, je härter das Material der Läufe, desto schlechter war der Brand, desto mehr flog die Wolle und Lampe ging weiter; den schlechtesten Brand zeigten die Läufe aus Gussstahl.

Missmuthig über den ungenügenden Brand der Centralfeuergewehre, kehrte ich wieder zu dem System Lefaucheux zurück und kaufte zwei der besten Gewehre dieses Systems mit weichen Damastläufen. Als ich das erste Lefaucheuxgewehr führte, rief mein alter Jäger nach dem ersten Schusse aus: „Das Schrot kreischt gerade so, wie bei ihrem alten Gewehr!“ Und eigenthümlich, jeder Hase und jedes Kaninchen, das Blattschuss bekam, blieb wie vom Blitz erschlagen im Feuer liegen. Beide Gewehre hatten einen brillanten Brand, wie man sich nicht besser wünschen konnte; ich war sehr erfreut darüber und beschloss beim System Lefaucheux zu bleiben.

Jedoch die Bequemlichkeit der Centralfeuer-Patrone beim Laden, sowie der rasche Schuss wollten mir nicht aus dem Sinn kommen. Es kamen mir Zweifel, ob ich richtig gedacht, dass ich den Brand allein bei der Entzündungsweise des Pulvers gesucht hätte und ob er nicht doch nur durch das Material der Läufe bedingt wäre; ich beschloss die Gegenprobe zu machen und eins dieser Lefaucheux-Gewehre in Centralfeuer umändern zu lassen.

Herr Bartsch, der selbst bisher nicht an den Brand der Schrottgewehre geglaubt hatte, führte mir diese Umänderung sehr gern aus, da er zuversichtlich glaubte, ich hätte mich geirrt und der Schuss würde sich gleich bleiben.

Der Erfolg war schlagend für meine Behauptungen; fast kein Hase blieb mehr wie vom Blitz erschlagen im Feuer liegen, die meisten brauchten noch einen Schuss oder krabbelten zerschossen auf dem Boden umher, bis sie ein Schlag hinter die Löffel von ihren Leiden erlöste, selten war ein Lampe ohne Zucken verendet, die Hühner fielen herunter, liefen meist weiter und mussten vom Hunde geholt werden. Mit dem brillanten Brande war es gründlich vorbei, das Gewehr schoss nun gerade so unsicher in Bezug auf plötzliches Verenden des Wildes, wie die früher probirten Centralfeuer-Gewehre. Wenn ich das zweite Lefaucheux-Gewehr mit auf die Jagd nahm und abwechselnd mit Centralfeuer und mit Lefaucheux schoss, war der Unterschied auf den Brand so klar, dass jeder Unpartheiische überzeugt sein musste. Aber, welcher Jäger ist unpartheiisch, der ein bequem liegendes, weit schiessendes Centralfeuer-Gewehr führt! — und so auch mehrere meiner Jagdcollegen, die aus Liebe zu ihren schönen Centralfeuer-Gewehren immer noch wie blind gegen diese Erfolge sich stellten, da sie zuweilen ganz aussergewöhnliche gute Schüsse hatten und hartnäckig die oft recht schlechten Erfolge dem Gewehr verziehen und aufs Treffen schoben, so beschloss ich ihnen zu Gefallen auch dies zweite Lefaucheux-Gewehr in Centralfeuer umändern zu lassen. Der Erfolg war ebenso eclatant wie beim ersten Gewehr, der gute Brand war verloren, der Schusserfolg wurde unsicher, zuweilen recht gut, zuweilen unerklärlich schlecht, trotzdem ich immer dieselbe Ladung schoss und auf Blattschuss seit langer Zeit eingeübt bin.

Jetzt war es unwiderleglich bewiesen, dass die Entzündung des Pulvers ungünstig beim Centralfeuer-System für den Schrottschuss ist; aber ich hatte nun kein Gewehr mehr im Hause, auf dessen Schuss ich mich verlassen konnte und mit dem ich ohne Hund hätte jagen können, ohne Thierquälerei vorzunehmen.

Herr Bartsch war jetzt gründlich überzeugt, wie ich es seit 30 Jahren schon bin, was der Brand beim Schrotgewehr zu bedeuten hat, und als ich ihm erklärte, ich würde mir ein Gewehr in das alte Zündnadel-System umändern lassen, um die Entzündung des Pulvers von oben her zu haben, da kam ihm der glückliche Gedanke, diese Entzündung beim Centralfeuer-Gewehr nachzuahmen. Nach vielen Versuchen ist es ihm gelungen, einen Zündkegel zu erfinden, der die Stichflamme des Zündhütchens durch eine Messingröhre mitten durchs Pulver hindurchführt und erst in die obere Masse des Pulvers unter dem Propfen durch viele Oeffnungen kreisrund hineinsprühen lässt. Dadurch ist die Zündung des alten Zündnadel-Systems noch übertroffen, weil sie unvergleichlich schneller ist; die obere Pulvermasse wird durch viele kleine Stichflammen sternförmig plötzlich entzündet, das ganze Pulver explodirt innerhalb der Patrone, es kommt die Fibration der weichen Damastläufe im vollsten Masse zur Geltung und das Resultat davon ist der schärfste Brand, den man nur wünschen kann. Bei der bisherigen Entzündug des Pulvers von unten und nur an einem Punkte, explodirte nicht das gesammte Pulver in der Patrone, sondern zum Theil erst im Laufe, dadurch wird aber entschieden die Fibration der weichen Läufe irritirt; daher die unsicheren Schusserfolge bei der bisherigen Centralfeuer-Patrone.

Herr Büchsenmacher Bartsch in Liegnitz hat durch diese Erfindung, die er sich patentiren liess, der gesammten Jägerei einen grossen Dienst erwiesen.

Wer einmal mit dieser Patrone, welcher Herr Bartsch den bezeichneten Namen **Brand-Patrone** gegeben, geschossen hat, wird nie wieder eine andere Patrone gebrauchen.

Durch diese **Brand-Patrone** ist der brillante **Brand** bei meinen Centralfeuer-Gewehren wieder vollkommen hergestellt, Hasen und Kaninchen verenden beim Blattschuss im Feuer wie vom Blitz erschlagen, ebenso wie es bei meinem alten Lefaucheux-Gewehr war, nur ist die Entzündung schneller als beim Lefaucheux und man braucht nicht viel vorzuhalten.

Auch das zuerst probirte Centralfeuer-Gewehr mit Läufen von Crolé-Damast aus Paris, habe ich mit diesen Patronen nun wieder probirt und dabei den schönsten Brand constatiren können.

Wie ich höre, versendet Herr Bartsch diese Brand-Patronen für Centralfeuer-Gewehre Caliber 16 als feinste gasdichte Patrone in Packeten von 100 Stück für 8 Mark und Caliber 12 für 9 Mark, da die Fabrikation des messingenen zündkegels theuer ist. Weil man diese Patronen aber vielmal schiessen kann, wenn man sich zugleich eine Zündhüttchenzange für 6 Mark dazu kommen lässt, um die Zündhüttchen selbst wieder einzusetzen, so ist sie doch dadurch eine billige Patrone auch für den einfachen Jäger, aber durch die Sicherheit des Schusserfolges sehr wichtig für Alle, die jagdgerecht schiessen wollen.

S. G. Weber
Rittergutsbesitzer zu Hummelradeck bei Lüben i./Schl.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Żorża.